

" Gdybyśmy usiedli w kręgu ludzi na prerii, i gdyby w środku tego kręgu umieszczono pomalowany bęben lub orle pióro, to każdy z nas widziałby te przedmioty inaczej. Nasz sposób widzenia zmierzałby się w zależności od naszego miejsca w kręgu - miejsca, które zawsze byłoby wyjątkowe.

Nasze osobiste postrzeganie (sposób widzenia) tych przedmiotów mogłoby zależeć od czegoś więcej, nie tylko od różnych miejsc patrzenia na nie. Na przykład, ktoś z nas mógłby cierpieć na daltonizm albo mieć słaby wzrok. Każda z tych cech mogłaby wpływać na nasze postrzeganie tych rzeczy.

Jest wiele punktów widzenia, które musimy brać pod uwagę, gdy próbujemy zrozumieć nasze indywidualne postrzeganie, lub gdy staramy się je powiązać ze sposobami widzenia naszych braci i sióstr. Każde z naszych dotychczasowych doświadczeń życiowych będzie w pewien sposób wpływać na intelektualną perspektywę, z której widzimy świat wokół nas.

Dlatego pewien przedmiot lub wydarzenie może Tobie wydawać się straszne a jednocześnie mi sprawiać przyjemność, zaś komuś innemu - wydawać się zupełnie nieciekawe. Wszystkie rzeczy, które widzimy, określają w pewien sposób naszą indywidualną wyobraźnię, co z kolei sprawia, że tworzymy własne, wyjątkowe ich interpretacje. Miłość, nienawiść, strach, zmieszanie, radość, zazdrość i wszystkie inne uczucia oddziałują na nas, malując nasz sposób widzenia rzeczy rozmaitymi barwami.

Gdyby rzecz, którą umieszczono w naszym kręgu, była abstrakcją - taką jak idea, uczucie czy filozofia - to nasze postrzeganie jej byłoby bardziej skomplikowane, niż gdyby rzecz ta była namacalna. Ponadto, liczba rozmaitych sposobów widzenia jej stawałaby się tym większa, im więcej ludzi znalazłoby się w naszym kręgu. Postrzeganie każdej rzeczy, rzeczywistej lub abstrakcyjnej, staje się ostatecznie tysiącokrotnie bardziej złożone, jeżeli znajduje się ona w kręgu CAŁEJ SPOŁECZNOŚCI. Zrozumienie tej prawdy to pierwsza lekcja Magicznego Kręgu."

To nasza Wiedza i Mądrość - to nasz wspólny TAWAČIN.



Kiedy latem 1985 r., na suwalskim zlocie, zdecydowaliśmy się wydawać przegląd Polskiego Ruchu Przyjaciół Indian, byliśmy pełni obaw, czy uda się nam pokonać rozmaite trudności i czy będziemy mogli liczyć na Wasze zaufanie i współpracę. Kiedy nowemu piśmie nadawaliśmy łakocką nazwę, oznaczającą wiedzę i mądrość, stawialiśmy sobie za zadanie tematyczną różnorodność i wysoki poziom publikowanych materiałów.

Dziś, chociaż mamy za sobą dziesięć numerów "Przeglądu" i siedemnaście monograficznych broszur "Biblioteki TAWACINU" dalecy jesteście od pełnej satysfakcji. Nie zadowala nas ani jakość, ani ilość dotychczasowych publikacji. Doskwiera brak pełnej informacji, trwałego zaplecza i możliwości napisania o wszystkim, co ważne i ciekawe - u nas i w Ziemi Indian.

Obok materiałów redakcyjnych i przekładów, publikowaliśmy dotąd teksty, wiersze i rysunki 25 osób z kręgu PRPI; Większości z nich - kilkakrotnie. Raz jeszcze dziękujemy im za pomoc i cierpliwość a wszystkim zachęcamy do współpracy.

Nie raz podkreślaliśmy, że ma to być pismo nas wszystkich. I że nie godzimy się, aby spotykał je los rzuconego w kąt czy wstawionego za szybę "połkownika". Pragniemy, aby TAWACIN był znany i czytany, by jego czytanie pobudzało do myślenia, a z myślenia rodziło się działanie.

O konkretnych przykładach aktywności różnych grup i osób staraliśmy się pisać pomimo niewielkiego odzewu na nasze apele o informacje o Waszych działaniach i pomysłach. Wciąż mamy nadzieję na pozytywne zmiany, jako że moda na "Okragły Stół" nie ominęła i naszego Ruchu. Na spotkaniach, które w ostatnich miesiącach odbyły się m.in. w Warszawie, Poznaniu i Chodzieży, wiele osób krytycznie wypowiadało się o obecnym stanie PRPI. Najczęstsze zarzuty to: powierzchowność zainteresowań, nastawienie na zabawę, brak poparcia grupy dla konkretnych działań jednostek i słabość organizacyjna Ruchu.

Zaproponowano m.in. utworzenie stowarzyszenia, które mogłoby skupić niewielką początkowo grupę "ludzi wiedzy i czynu". Stowarzyszenie takie dałoby aktywnym przyjaciółom Indian lepsze oparcie organizacyjne i materialne oraz umożliwiłoby zajęcie się sprawami, w których działania indywidualne i nieformalne okazały się zbyt trudne lub nieskuteczne. Mogłoby ono zapewnić większą siłę przebicia w kontaktach z instytucjami i środkami przekazu, powiększyć zakres i skuteczność działalności popularyzatorskiej, stworzyć możliwość wydawania oficjalnego pisma, ułatwić kontakty międzynarodowe oraz działalność wspierającą, a także promować dorobek Indian, członków stowarzyszenia i innych "indiańskich" autorytetów.

Znowu padło wiele słów i sporo deklaracji. Teraz czas na zebranie odpowiedzialnych ludzi, którzy po określeniu wspólnego celu i form działania przygotowują niezbędne dokumenty i - podejmą realną działalność. Liczymy na pewien postęp w tej sprawie podczas VI - tym razem filmowej - wiosennej Sesji w poznańskiej "Orbicie" (11-12 marca). I na ostateczne jej zatwierdzenie do XIII Zlotu PRPI. Z jego organizatorami spotkali się goście chodzieskiej wystawy malarstwa przyjaciół Indian z województw pilskiego i gdańskiego. Informacje o Zlocie zamieszczamy na przedostatniej stronie, a zachęcając do lektury całości - Czytelnikom i sobie życzymy wiele satysfakcji i inspiracji na naszej wspólnej "indiańskiej ścieżce". REDAKCJA

TAWACIN - Przegląd PRPI - wydawany jest na prawach rękopisu. Wydanie ZIMA-1989 przygotowali Cień, Niedzwiedz i Nawolitya.

EKOLOGICZNY ZAWRÓT GŁOWY ?

Od pewnego czasu w Telewizji Polskiej toczy się dyskusja na temat stworzenia tzw. Stacji Klimatycznej w Bieszczadach. Miałby to być duży ośrodek rekreacyjno-sportowy, zapewniający swoim gościom wypoczynek i możliwość uprawiania sportów. Nie tylko zimowych, ale i letnich. Bliższe informacje na ten temat można uzyskać, oglądając w telewizji program pt. 'Kolorowy Zawrót Głowy'.

Propozycja ta została poparta przez wielu ludzi z całej Polski. Były też głosy przeciwne, ale panno i dziennikarze sportowi są tak zafascynowani swoim projektem, że zbywają je lekceważącymi i płytkimi odpowiedziami, nie wysilając się, aby zrozumieć o co chodzi oponentom. Uważają, że przez zbudowanie kilku oczyszczalni itp. problem ochrony przyrody (główny argument przeciwników Stacji) zostanie rozwiązany. Nie potrafia zrozumieć, że są jeszcze ludzie, którzy kochają przyrodę dziką, nie zagospodarowaną przez człowieka. Dla takich ludzi nie jest ważne to, czy dla ośrodka zbuduje się oczyszczalnie, czy nie, ale to, że w ogóle taki ośrodek ma powstać. I to w miejscu w którym do tej pory przyroda nie była aż tak penetrowana i atakowana, jak w innych częściach kraju.

Moim zdaniem projekt budowy Stacji Klimatycznej w Bieszczadach jest jeszcze jednym bezmyślnym atakiem na życie na Zie i. Jest grupim i egoistycznym działaniem ludzi, którzy utracili kontakt z przyrodą i którzy nie potrafią jej zrozumieć ani uszanować. Ludzie ci traktują przyrodę jako jeszcze jedną z wielu możliwych form rozrywki - podobnie jak kino, dyskotekę itp. Ich stosunek do niej jest arogancki i brutalny. Jest to typowa postawa białego człowieka.

Wiele można by znaleźć przykładów obłudnej filozofii wyzysku i zniszczenia. Ludzie cywilizowani potrafia znaleźć wytłumaczenie i usprawiedliwienie dla swojego działania. Np. dokonywanie niegodziwych eksperymentów na zwierzętach, przetrzymywanie ich w niewoli w laboratoriach czy ogrodach zoologicznych tłumaczone jest dobrem człoeka, potrzebami nauki itp. Ludzie cywilizowani twierdzą, że zwierzęta nie posiadają świadomości i dlatego można lekceważyć ich cierpienie. Kiedy człowiek ucieka przed niebezpieczeństwem, to z całą pewnością działa tu jego rozum i doświadczenie, a więc świadomość. Kiedy natomiast to samo robi zwierzę, to działa tu instynkt, ponieważ zwierzę jest nieświadome. Oto jedno z kłamstw cywilizowanego człowieka, upoważniające go do okrucieństwa.

Skąd wzięła się taka postawa? Myślę, że dużo mogą nam tu powiedzieć same słowa 'cywilizacja' i 'cywilizowany'. Sugerują one związek z iastem. Człowiek cywilizowany to obywatel, mieszkaniec miasta. Twierdzą, że takie jest pierwsze i prawdziwe znaczenie tych słów. I że nie określają one żadnych z tych przymiotów, które powszechnie łączy się z nimi. Wszelkie kojarzenie tych słów z wyższością kulturalną czy moralną to tylko zarozumiałość i egocentryzm ludzi cywilizowanych.

W każdym razie słowo 'cywilizacja' nie powstało przypadkowo. To znaczy nie jest przypadkiem jego związek z mięsem. To właśnie mieszkańcy miast są główną siłą napędową rozwoju i ekspansji cywilizacji. A jej charakter spowodowany jest sposobem i warunkami życia 'obywateli'.

Ludzie od wieków dążyli do tego, aby odgrodzić się od przyrody. Prawdopodobnie celem ich było zabezpieczenie się przed jej przykrym działaniem, stworzenie sobie wygodnego i bezpiecznego życia. Nie spostrzegli jednak, że chroniąc się przed naturalnymi uciążliwościami i niewygodami utracili to, co w zamian dawała im przyroda.

Proces ten trwa nieustannie. Ludzie coraz bardziej oddzielają się od przyrody, tracą z nią kontakt, a jednocześnie gubią to, co niegdyś stanowiło sens ich życia. Czasami budzi się w nich ta nieokreślona tęsknota. Hodują wtedy kwiatki, kupują psa, kota, albo rybki do akwarium. Czasami uprawiają turystykę. Ale nawet wtedy, kiedy szczerze pragną wiązać kontakt ze światem przyrody, nie potrafią pozbyć się różnych obciążeń wynikających z ich sposobu życia, a które nie pozwalają zrealizować tego pragnienia.

Dzisiaj, w Polsce tacy właśnie ludzie chcą w imię obcowania z przyrodą zniszczyć te resztki, które z niej jeszcze pozostały. Nie potrafią uszanować ani zrozumieć tego, że każda istota potrzebuje do życia określonej przestrzeni, nie penetrowanej przez ludzi. Nie potrafią, a przede wszystkim nie chcą uznać prawa zwierząt i roślin do swobodnego życia.

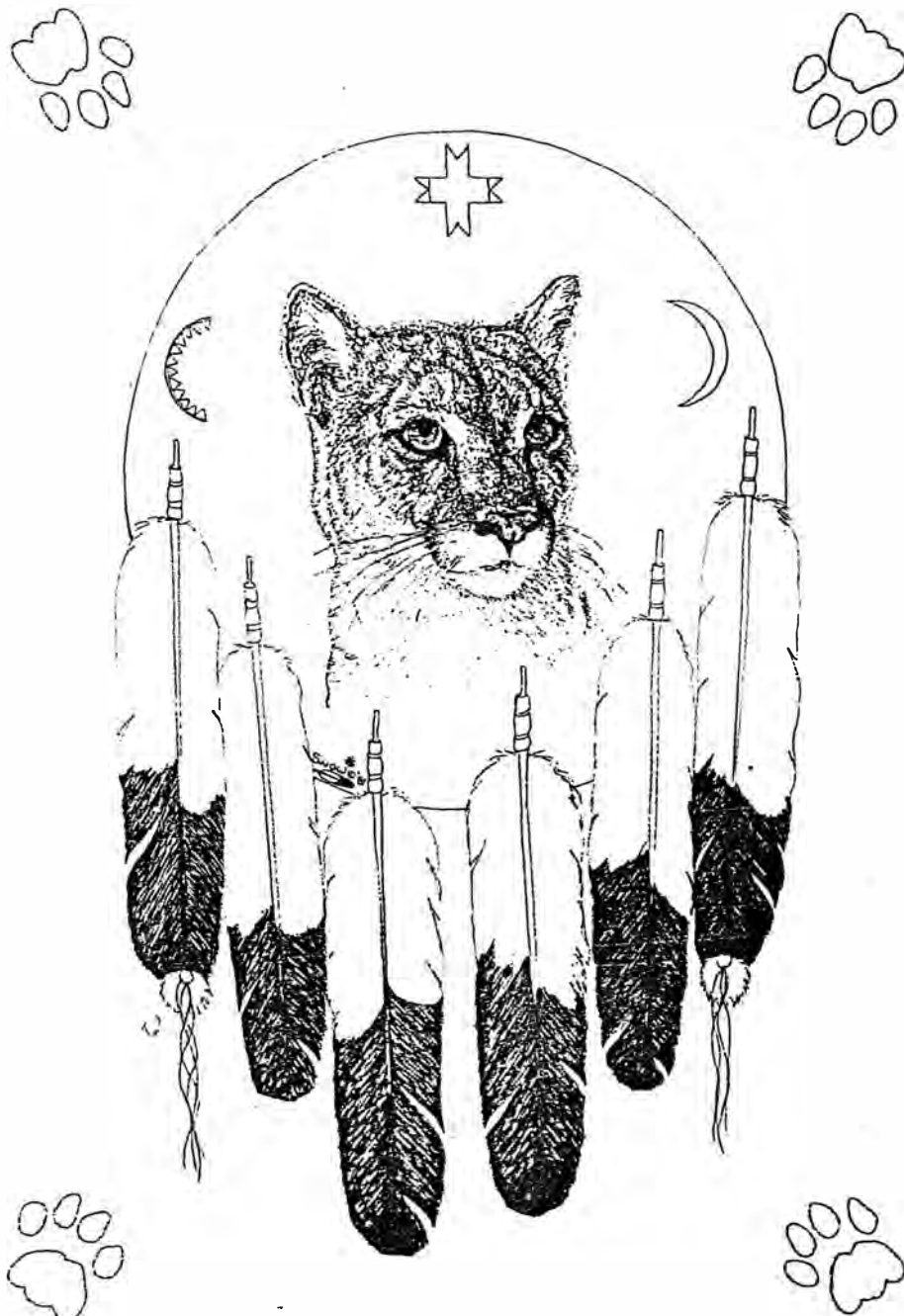
Nawet jeśli podejmują działania mające chronić przyrodę to nie robią tego z szacunku dla innych stworzeń, ale dlatego, że widzą, że ich zniszczenie zagraża także człowiekowi. Pod tym kątem niektórzy zaczynają dostrzegać, że człowiek też jest częścią przyrody. Stworzono nową dziedzinę nauki - ekologię, która ma służyć rozwiązaniu zadania: w jaki sposób nadal grabić naturalny świat, by nie tracił na tym człowiek.

Zdaje sobie sprawę, że mój pogląd jest bardzo powierzchowny, ponieważ jest zapewne wielu ludzi o gorącym sercu, kochających inne stworzenia. Mimo to jednak uważam, że oddałem dosyć dobrze ogólny obraz działalności człowieka.

Ludzie cywilizowani przestali rozumieć otaczający ich świat przyrody. Zatracili radość życia, powstającą ze świadomości współuczestnictwa w życiu Powszechnym. Czują się nieszczęśliwi i opuszczeni, obcy i niekochani, niepotrzebni światu. Sami dobrowolnie przyjmują taką postawę, chociaż nic nie stoi na przeszkodzie, aby pogodzili się ze światem przyrody i wrócili do niego stając się jego harmonijną częścią. Nie stoi nic, oprócz luźnej chciwości, egoizmu i głupoty.

Piotr Spólny

* Kontynuujemy publikowanie wypowiedzi naszych czytelników *
 * na temat ich stosunku do idei i rzeczywistości Polskiego *
 * Ruchu Przyjaciół Indian, filozofii życia w pokoju i har- *
 * monii z Naturą oraz innych bliskich nam spraw. Oczekujemy *
 * na kolejne listy, uwagi i opinie na ten temat - REDACJA *



Carol Snow. ANIMAL SPIRIT SHIELD - MOUNTAIN LION, pen & ink

Co Indianie dali światu?

Niewiele osób uznaje obecnie, lub docenia, wielki wkład Indian we współczesne życie. Wszystkie aspekty życia Indian - rolnictwo, władze, religia, handel, mitologia, gospodarka, sztuka i rzemiosło - miały jednak w tym lub innym czasie wpływ na białych ludzi i pomogły ukształtować przeznaczenie każdego z ludów Zachodniej Półkuli.

Od momentu lądowania Kolumba na Bahamach Indianie umożliwiali Europejczykom pierwsze, niepewne kroki w różnych miejscach Ameryki. Dostarczali przybyszom nieznaną im indiańską pożywność, uczyli ich sadzić, łowić ryby i polować indiańskimi metodami, prowadzili ich indiańskimi szlakami przez rozległe przestrzenie, przewozili w indiańskich łodziach. Udostępniali im też indiańskie narzędzia, naczynia, sprzęty, odzież i sposoby życia, które czyniły egzystencję łatwiejszą i bezpieczniejszą. W przyjaznym handlu dostarczali białemu człowiekowi futer i innych dóbr, które przyczyniały się do zrewolucjonizowania mody i materiałów Starego Świata, a ich dzieła sztuki, wyroby rzemiosła i produkty kultury w znacznym stopniu wpłynęły na pewne aspekty europejskiego życia artystycznego i intelektualnego. Indiańskie złoto i inne skarby tworzyły trony, armie i floty europejskich władców i narodów oraz finansowały przez pokolenia intrygi, rywalizacje i wojny imperialnych potęg. Wreszcie, indiańskie koncepcje i struktury społeczne i polityczne głęboko wpłynęły tak na osadników, jak i na filozofów Starego Świata, odgrywając znaczną rolę w ewolucji wielu współczesnych instytucji władzy i codziennego życia.

Ponad połowa z uprawianych obecnie na świecie roślin została po raz pierwszy udomowiona przez Indian i stała się znana białym ludziom dopiero po 1492 r. Dwie z tych roślin - kukurydza i ziemniaki - są obecnie, obok ryżu i pszenicy, najważniejszymi źródłami pożywienia na świecie. Niewiele mniejsze znaczenie mają też różne inne dostarczone przez Indian rośliny - maniok, który stał się podstawą pożywienia w części Afryki, oraz słodki ziemniak amerykański. Ponadto Indianie udostępnili białemu człowiekowi ponad 80 innych roślin uprawnych, w tym: orzeszki ziemne, dynię, pieprz, pomidory, melony, ananasy, awokado, kakao (do czekolady), gumę do żucia, wiele gatunków fasoli oraz inne warzywa i owoce, znane dziś większości ludzi. Cała bawełna, uprawiana w Stanach Zjednoczonych, podobnie jak długowłókniasta bawełna z Egiptu i innych części Afryki, także wywodzi się od gatunków uprawianych przez Indian. Tytoń, który Kolumb ujrzał po raz pierwszy na Kubie w formie cygar - pochodzi od Indian. Także conajmniej 59 lekarstw, w tym koka (na kokainę i novokainę), kurrara (rozkurczająca mięśnie), kora chinowa (na chininę), szaktak amerykański (o działaniu przeciwszczepnym), bielun (środek przeciwbólowy), i efedryna (lecząca drogi oddechowe) trafiły do współczesnej medycyny dzięki Indianom.

Poza tym, współcześni ludzie używają licznych indiańskich wynalazków - takich jak: kanu, rakiety śnieżne, mokasy, hamaki, kajaki, fajki, poncza, dmuchawki, psie sanki, toboggany i eskimoskie parki. Indiańskie wzory wpłynęły na wygląd wielu wyrobów przemysłowych, od plażowych koszy aż po biżuterię. Od Indian przejęto gumową piłkę i grę w lacrosse.

W całym Nowym Świecie liczone miasta, rzeki, góry, jeziora i zjawiska geograficzne noszą nazwy wywodzące się od nazw indiańskich. W wielu językach narodów europejskich istnieją takie słowa, jak francuskie 'apache', pochodzące z tubylczych języków amerykańskich. Do języka angielskiego trafiły dzięki Indianom takie słowa, jak: 'tomahawk', 'tobacco' (tytoń), 'toboggan', 'mackinaw' (gruby koc lub kurtka), 'opos', 'skunks', 'moose' (łoś), 'papoose' (dziecko), 'hominy' (małyga), 'squash' (dynia) i setki innych. W wielu językach popularne są też takie wywodzące się z kulur indiańskich zwroty i powiedzenia, jak: błada twarz, indiański rząd, zakopać topór wojenny, wielki wódz, barwy wojenne, wypalić fajkę pokoju, wojenna ścieżka, kraina pomyślnych łowów.

Literatura, film i inne środki przekazu ukazywały często Indian w sposób daleki od prawdy i rzadko dotąd wykorzystywały olbrzymie zasoby indiańskich kultur. Indiańska mitologia i folklor - niepisana literatura ustna rozmaitych plemion - stanowi bogate i zróżnicowane dziedzictwo, które nie-Indianie wciąż w większości ignorują. Zakorzenione głęboko w starożytności, ludowe opowieści i mity przenikały całe indiańskie życie, wiążąc się nierozdzielnie z systemami religijnymi, społecznymi i politycznymi oraz regułami codziennego zachowania. Ludowe opowieści mówiły o naturze wszechświata i jego różnych mieszkańcach, tworzyły zasady zachowania się, opisywały migracje i początki historii, omawiały tradycje związane ze zjawiskami natury i środowiskiem geograficznym, a także opowiadały o Stworzeniu i czasach przed powstaniem człowieka. Te tysiące opowieści i mitów Indian obu kontynentów, równie bogate, jak mitologia starożytnej Grecji czy Rzymu, wyrażano także w tysiącach obrzędowych tańców, w świątecznych rytuałach, pieśniach, dziełach sztuki i wyrobach rzemiosła. I one również miały wpływ na nie-Indian. Ale takie dzieła, jak 'Hiawatha' Longfellowa, czy 'The Land of Sky Blue Waters' Charlesa Cadmana zaledwie sugerują olbrzymią skarbnicę indiańskich tematów, oczekujących na odkrywco-ów z różnych dziedzin ekspresji twórczej.

Także w innych dziedzinach Indianie wpływali na współczesne życie. Wiele leśnych umiejętności pochodzi od Indian, a międzynarodowe ruchy skautów i skautek zostały w znacznej mierze zainspirowane przez lekcje indiańskiego życia. Ostatnio w świecie stającym w obliczu eksplodującej populacji, zanieczyszczenia powietrza i wody, zatłoczenia, zaniku zielonej przestrzeni i otwartych, naturalnych terytoriów, zwolennicy ochrony środowiska powołują się na Indian. 'To ironiczne, że obecnie ruchy ochrony środowiska zwracają się ku dawnym ideom ziemskim Indian, do świadomości Indian, że nie jesteśmy poza naturą, ale stanowimy jej część' - pisał sekretarz spraw wewnętrznych USA, Stewart L. Udall w książce 'The Quiet Crisis' z 1963 r. 'Z tej mądrości możemy nauczyć się, jak ochronić najlepsze części naszego kontynentu.'

W ostatnich dziesięcioleciach powoli powracaliśmy do niektórych prawd, które Indianie znali od początku: że nierozdzielne pokolenia mają równą naszym prawa do ziemi, że ludzie muszą uczyć się od przyrody, przykładając ucho do ziemi, wzbogacając ducha w częstych kontaktach ze zwierzętami i dziką ziemią. I, co najważniejsze, odkrywamy poczucie szacunku do ziemi. Innymi słowy, zamiast 'podboju' przyrody, biali ludzie odkrywają wartość nauk Indian o życiu w harmonii z naturą.

W dziedzinie medycyny, indiańscy szamani często leczyli niegdyś białych pionierów, pozbawionych opieki białych lekarzy. Wielu leczących Indian stało się sławnych w Nowej Anglii i na Środkowym zachodzie, a indiańskie zioła i leki zostały zaakceptowane przez wdzięcznych białych, z których część wykorzystywała zaufanie ludu do indiańskich lekarstw, sporządzając i rozprowadzając bezwartościowe mikstury pod takimi nazwami, jak 'Oliwka Seneków' czy 'Sok Kickapoo'. Ostatnio, wraz z pojawieniem się psychiatrii i medycyny psychosomatycznej, zwrócono uwagę na praktyki indiańskich uzdrowicieli, służące przywróceniu zdrowia pacjenta przez wpływanie na stan jego umysłu i przywracanie mu harmonii z jego wszechświatem. Lecznicze ceremonie takich ludów, jak np. Nawahowie studiowane są z nowym zainteresowaniem, a - mówi c ogólnie - niektórzy indiańscy szamani i ich metody cieszą się większym uznaniem, niż do tej pory.

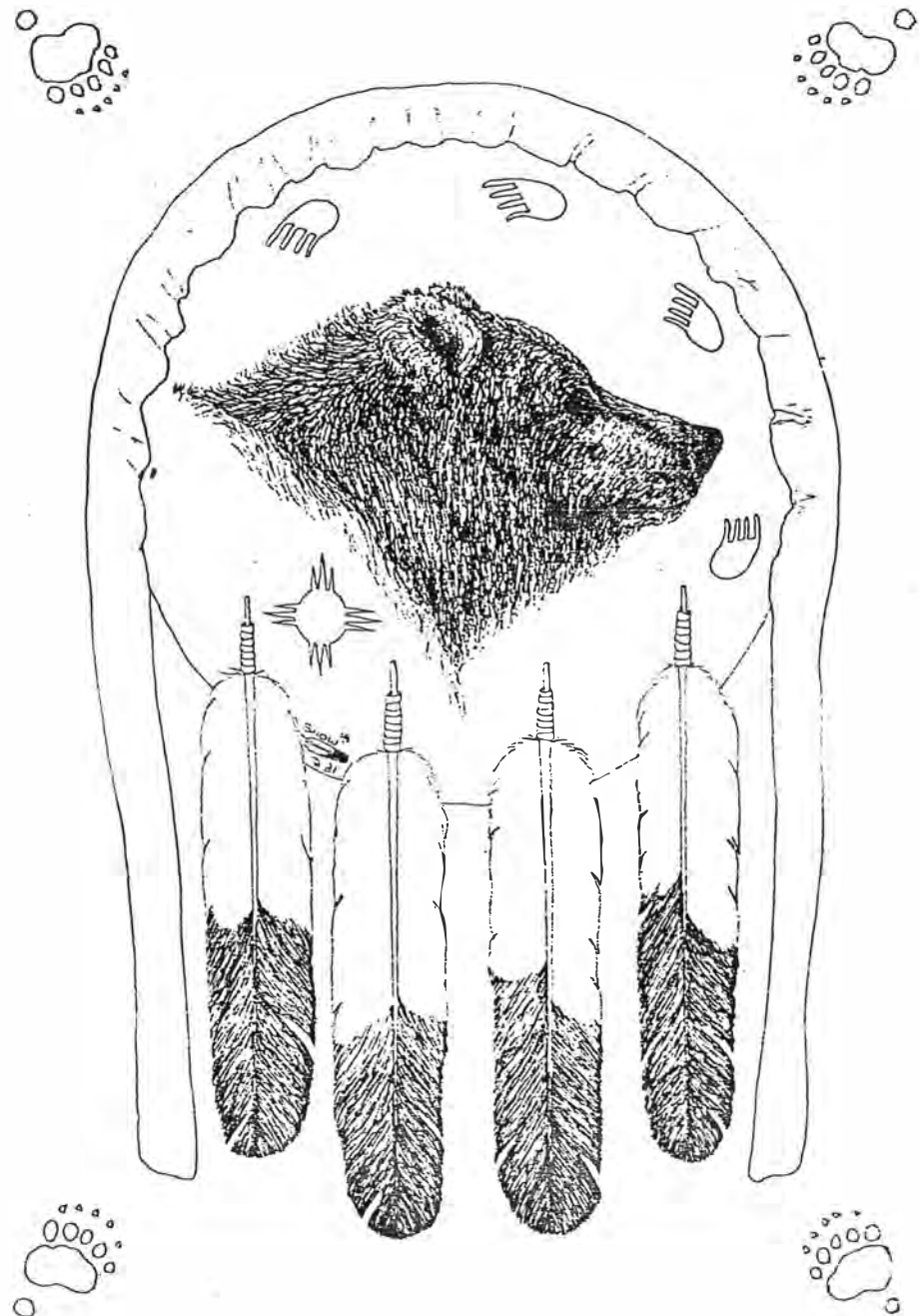
Także w innych dziedzinach długo ignorowane przez nie-Indian aspekty indiańskiej kultury otrzymują nową świadomość - dziecięcy psychologowie studiują indiańskie metody wychowania, uczenia i opieki nad dziećmi, administratorzy rządowych programów zwalczania ubóstwa wyciągają wnioski z dawnych metod grupowego działania Indian a spółdzielnie powielają rozwinięte przez nich już dawno wzorce organizacyjne.

Wspomniane już polityczne wzory i instytucje Indian także miały wpływ na białych. Szczególnie Liga Irokezów wpłynęła na myślenie części przywódców amerykańskich kolonii. Benjamin Franklin miał wielki szacunek dla organizacji Ligi i przedstawiając swoją propozycję zjednoczenia kolonii w Albany w 1754 r. pisał: Byłoby rzeczą dziwną, gdyby Sześć Narodów ignoranckich dzikusów byłow stanie stworzyć schemat takiej unii oraz zachować go w taki sposób, że przetrwał lata i wydaje się być nierozzerwalny, a jednak podobna unia byłaby niepraktyczna dla dziesiątki czy tuzina amerykańskich kolonii. W owym czasie struktura Ligi wpłynęła pośrednio nie tylko na związek kolonii, ale i na rząd USA.

Wreszcie, biali ludzie dostrzegli - choć często błędnie interpretowali - utopijne, jak dotąd sadzono, indiańskie sposoby życia. Opisy Indian, żyjących w Złotym Wieku cnoty i niewinności, zaczęły powstawać coraz liczniej od XVI w., a w XVIII stuleciu ich wpływ osiągnął szczyty nie tylko na dworach Europy, ale i wśród poważniejszych filozofów, takich jak J. J. Rousseau. Beczuka prochu, którą zapalili filozofowie, wybuchła ostatecznie pod postacią rewolucji, które zmieniły świat.

Wnioski filozofów o Indianach nie były całkowicie błędne. Wiara w wolność i godność jednostki była zakorzeniona głęboko w wielu indiańskich społeczeństwach. W wielu plemionach do tego stopnia, że zawsze - nawet gdy ludzie walczyli o życie - człowiek mógł postępować po swojemu i robić to, co uważał za słuszne. Także wśród wielu plemion rady jednomyślnie decydowały o biegu spraw, a uczucia i opinie jednostki uważano za zbyt ważne, by je pomijać. Takie wpływy, odzwierciedlające równość jednostek i szacunek dla ich praw, odcisnęły swe piętno na filozofach europejskich, a w Nowym Świecie pomogły kolonistom w stworzeniu nowych systemów wartości.

*** Z książki Alvina M. Josephy'ego 'Indian Heritage ***
*** of America' wybrał i opracował Marek Nowocien ***



Carol Snow, ANIMAL SPIRIT SHIELD - BEAR, pen & Ink

CARLOS MONTEZUMA

Ojciec współczesnego walczącego indianizmu

W czasie pół wieku swego życia przeżył on wszystkie stadia prymitywnego plemiennego życia, okrutne działania wojenne, masakrę, porwanie i niewolę... i stał się wielkim doktorem, filantropem i krzyżowcem swego ludu..."

Henry F. Unger

Prawdopodobnie tak, jak by wolał, choć bez okazałego nagrobka, szczątki dra Carlosa Montezumy spoczywają na zaniedbanym, piaszczystym indyjskim cmentarzu w Fort McDowell, chwilę jazdy samochodem od ruchliwej autostrady Beeline, niedaleko Phoenix w Arizonie.

Zanotowano niewiele więcej znaczących karier niż ta dra Montezumy, który wskutek osobliwych wypadków, przeobraził się z nieokrzesanego i dzikiego indyjskiego chłopca z Arizony w wytwornego, głośnego w swym czasie lekarza z Chicago. Człowiek nauki, który ostatecznie powrócił do rezerwatu i w ten sposób mógł oddać ducha w towarzystwie ludzi, których wybrał - swoich indyjskich braci.

Ta nadzwyczajna postać zdaje się ożywać, kiedy chodzi się z dalekimi krewnymi doktora zapomnianymi ścieżkami, którymi i on kiedyś stąpał. Posiwiali, blisko osiemdziesięcioletni Sam Dickens i Jim Kill przywołują na pamięć, jak to dr Montezuma powrócił do rezerwatu umrzeć. „Był wielkim człowiekiem - mówią - mogliśmy często chodzić do jego wickiup by posłuchać go jak mówi o tym, że Indianin powinien się uczyć i robić coś dla samego siebie... wykorzystywać możliwości dla własnych celów. Powiedział nam, że możemy zostać takimi samymi jak on”.

Nie wyglądał na słynnego lekarza, nosił stare spodnie i koszule i miał naprawdę straszną gruźlicę... nadal jeszcze nosimy co jakiś czas kwiaty na jego grób”.

Carlos Montezuma ostrzeżony przez lekarzy, że cierpi na przekrwienie płuc powiązane z cukrzycą, i przekonany, że musi wkrótce umrzeć, zlekceważył całą profesjonalną pomoc medyczną. Porzucił swą lukratywną praktykę medyczną w Chicago, jak też oddaną żonę i wrócił do indyjskiego rezerwatu, gdzie 2 lutego 1923 r. indyjscy przyjaciele znaleźli jego zmizerowane zwłoki.

Saga niezrównanego dra Montezumy skończyła się, ale historia jego życia dodawała otuchy wszystkim walczącym i ambitnym członkom jego plemienia i zawsze będzie pamiętana jego obrona Indian, w czynie i słowie.

Prawdopodobnie urodził się w pobliżu Weaver's Needle w Arizonie, jako syn wodza Co-cu-ye-vah i Thil-ge-ya i nadano mu imię Wassaja; młodzieńcze lata chłopca w żaden sposób nie wskazywały jakie jest jego przeznaczenie.

Niektóre źródła wskazują, że Wassaja - nazywany tak przez niektórych Apaczów Mohave i innych Yavapai - nawet jako małe dziecko był uciekinierem nie tylko przed tropiącymi wojskami rządowymi, ale także przed nieprzyjawnymi Indianami Pima.

W 1872 r. gdy przywódcy plemienia usiłowali się porozumieć z wojskami rządowymi Stanów Zjednoczonych z zamiarem zawarcia pokoju i pozostawili kobiety, starców i dzieci w pobliżu Superstition Mountains, zwładowcy Pimów dowiedzieli się o tym i postanowili zdobyć łup.

Pimowie, atakując niestrzeżony obóz, podłożyli ogień i zmasakrowali większość mieszkańców, włącznie z matką Wassaji. Mały, opuszczony chłopiec ruszył, płacząc, na chwiejnych nogach poza obóz. Został schwytany i doprowadzony do obozu Pimów.

Jednakże Mike Burns, kuzyn Montezumy /zmarł w Fort McDowell w 1934 r./ zawsze utrzymywał w rozmowach, że on sam i Wassaja byli wzięci w słynną bitwę w jaskiniach Salt River, gdzie wraz z krewnymi zostali zaskoczeni w grocie przez kawalerię oraz Pimów ogniem karabinowym i zlatującymi z góry głazami. Burns opowiadał, że matka Wassaji została zmasakrowana przez głaz i upadając ochroniła jeszcze swoje dziecko. Później Wassaja został znaleziony przez kobietę z plemienia Pima i powrócił do obozu łupieżczych wojowników.

Jakkolwiek by nie było, brutalny rajd był tym faktem, który miał się stać punktem zwrotnym w życiu chłopca a społeczność w ogóle miała z tego odnosić korzyści.

Młody Wassaja, który utracił swych prawdziwych rodziców i przeżył bitwę wrzawę miał się przyzwyczajać do rolniczego trybu życia w społeczeństwie Pimów, ale tylko do 5-6 roku życia. Wassaja dostawał się do swojego nowego domu, ale nadal bolał nad utratą rodziców i swoich dwóch sióstr. Nie wiedział, że Pimowie mieli inne plany.

Pewnego dnia objazdowy fotograf i poszukiwacz, Carlos Gentile z Chicago, który odziedziczył skuszną sumę pieniędzy skontaktował się z plemieniem Pima. Dowiedział się o młodym Wassaji i o tym, że jest na sprzedaż. Pod wrażeniem wrodzonej inteligencji dziecka i miłej powierzchowności, pan Gentile łaskawie zapłacił Indianom około trzydziestu sztuk srebra w mieście Adamsville.

Wassaja był nieśmiały, czuł się obco wobec białego człowieka, tym niemniej tych dwóch stało się bliskimi przyjaciółmi i wkrótce to niemyłe towarzystwo - biały z indyjskim chłopcem - przybyło do Florence w Arizonie, gdzie jak wskazują niektóre źródła, chłopiec został ochrzczony w wierze katolickiej /Jednakże obecny pastor w tym kościele nie mógł znaleźć żadnych świadectw chrztu/.

Chłopcu nadano imię jego nowego ojca, Carlos. Gentile zdecydował także, że nazwisko, które sam mu wybierze może pomóc chłopcu wśród jego ziomków. Chłopiec wybrał Montezuma - imię czczone wśród Indian, powiązane z dwoma władcami Azteków, było też nazwą góry w pobliżu wsi Pimów, gdzie po raz pierwszy spotkał swego nowego ojca.

Roztropny Gentile potrafił wyobrazić sobie przyszłość dla młodego Wassaji w świecie białego człowieka. Uznał, że potrzebne mu jest wykształcenie i powiadomił o tym swego adoptowanego syna. Wkrótce udali się razem pociągiem do Trinidad w Colorado, końcowego przystanku kolei Santa Fe, gdzie Gentile babył bilety na podróż do różnych miejsc na wschodzie i południu USA.

W późniejszych latach dr Montezuma wspominał swe pierwsze „spotkanie” z pociągiem. Lękał się Żelaznego Konia. „Nie chciałem wsiadać do tej rzeczy - mówił - ale kiedy ujrzałem innych ludzi tłoczących się, zacząłem powątpiewać, czy aby moje zachowanie nie jest dzikie”.

Indyjski chłopiec, który poznał tylko życie wędrujących czerwonoskórych szeroko otwierał oczy, kiedy pociąg niósł go wraz z nowym ojcem przez cały kraj ku nowemu życiu.

W miastach zdumiewał się nowymi dla siebie i niezwykłymi obrazami białych ludzi dreptających w kółko. /Tak wiele nowych wydarzeń zrobiło wrażenie na umyśle dziecka, wskutek czego prymitywne życie Indian przesunęła się na drugi plan, przynajmniej czasowo/.

/.../Po pewnym czasie Gentile powierzył naszego indyjskiego chłopca przyjaciółkom, którzy mieli być dla niego świetnymi opiekunami. Według ówczesnych zwyczajów, przyjaciele nie rozpieszczali Montezumy,



Dr. Carlos Montezuma, Yavapai, 1896.

ale posłali go do szkoły wyższej. Bardzo szybko przystojny, silny indiański chłopak, niezwykle przypadek w środowisku studenckim - stał się popularny wśród kolegów ze szkolnej ławy oraz nauczycieli. Na promocji był jedynym czerwonoskórym studentem w audytorium, a jego długie do ramion czarne włosy uczyniły go ośrodkiem ogólnego zainteresowania klas i gości.

Niezwykłość przypadku indiańskiego chłopca, który został wykupiony od Indian przez człowieka ze Wschodu i posłany do szkoły na Wschodnim Wybrzeżu, i który szybko się dostosował do swej nowej drogi życia - ujęła wyobraźnię wychowawców jak i innych osób. Szczególnie zadowoleni byli z gorliwości, z jaką chłopiec pomagał sobie finansowo pracując jako robotnik rolny na farmach Illinois. To właśnie skłoniło grupę Związku Młodzieży Chrześcijańskiej /YMCA/ z Urban do sfinansowania jego studiów na Uniwersytecie stanu Illinois.

Montezuma wstąpił na uniwersytet jako student pierwszego roku w 1880 mając lat 13. W 1881 jego entuzjazm i szybka nauka przyniosły mu pasowanie na studenta i zawieszenie wszystkich opłat przez agentów szkoły „dla Carlosa Montezumy, Indianina z plemienia Apaczów”. Wrócił do niego wielka przyszłość w świecie białego człowieka. /.../

Wyczerpujący rozkład zajęć, praca po nocach i dodatkowe zajęcia aby ulżyć swoim ciężarom finansowym przyniosły Montezumie tytuł baka- larza w dziedzinie chemii cum laude, w roku 1883. Kiedy już otrzymał swój dyplom, Montezuma mógł się dziwić gdy myślał o tym, że kilka lat wcześniej koczował z Indianami w Arizonie.

Zdając sobie sprawę, że więcej będzie mógł pomóc swym indiańskim braciom jako lekarz, Montezuma wstąpił 2 czerwca 1884 r. do Chicago Medical College. Aby zmniejszyć wydatki, Montezuma pracował i mieszkał w drogerii w pobliżu kampusu, nabierając jednocześnie wprawy w posługiwaniu się lekarstwami i receptami.

Był też świetnym sportowcem, uczył w szkółce niedzielnej i śpie-

wał w chórze oraz towarzystwach śpiewaczych. Jako czynny członek Society of American Indians wygłaszał odczyty przed członkami Faculty Club na temat przeszłości i przyszłości czerwonoskórych, nad którymi gromadziły się chmury.

Prawnik William H. Beckman, odwiedzający Phoenix w 1947 r. i tamtejszy Faculty Club, znając budzącą zdumienie sagę dra Montezumy stwierdził, że Indianin otrzymał swój tytuł doktora medycyny w 1889 r., a więc mając zaledwie 21 lat. Wtedy był już też praktykującym farmaceutą. Otworzył także biuro w Chicago w dobrym miejscu, przy skrzyżowaniu Fullerton Avenue i Lincoln. Często jego biali koledzy wzywali tego młodego geniusza na konsultacje.

Będąc już dobrze znany ogłosił, że 90% jego pacjentów nie potrzebuje pomocy medycznej, że może ich wyleczyć sama natura w ciągu kilku dni, jeśli tylko da się jej sposobność.

Często powtarzał: „Ludzki żołądek zbyt rzadko odpoczywa. Wykorzystujemy jego soki tak, jak gdyby były niewyczerpane. Oczekujemy po nim /żołądku/, że strawi wszystko co zjemy... domagamy się od niego skandalicznie, wiele i oburzamy się, kiedy prosi o chwilę rozważ, trochę litości, sprawiając nam trochę bólu”.

Dr Montezuma praktykował w tym rejonie krótko. Przeniósł się do dzielnicy nędzy i mieszkał w dwóch pokojach na piętrze, na tyle starej drewnianej chaty w samym środku zubożałego rejonu. Był bardzo gorliwy w niesieniu ludziom pomocy. Beckman powiedział, że doktor nic nie brał za swoje usługi obstawiając, że „jestem wiele dłużny i muszę to spłacić”.

Wtedy nadeszła prośba od gen. T.J. Morgana, Komisarza do spraw Indian. Prosił dra Montezumę aby ten podjął się służby lekarza w rezerwach. Doktor specjalizował się wówczas w chorobach żołądka i przystał na prośbę Morgana.

Pracował w wielu rezerwach, a w Carlisle Indian School w Carlisle w Pennsylvanii spotkał się z gen. R.H. Pratterem, ojcem kształcenia Indian i czołowego orędownika samodzielności Indian. Z inspiracji Prattera Montezuma stał się gorliwszym niż kiedykolwiek bojownikiem o prawa Indian, o samopomoc wśród Indian i dla Indian. W czasie jego pracy w Indianiskim Biurze doszło do głosu jego dziedzictwo kulturowe. Przekonał się, że potrzebują go jego ukochani współplemieńcy. Dr Montezuma, który nauczał w Sunday School for the Baptists w Chicago, ożenił się wówczas z białą kobietą - Marie Keller, która była wraz z nim walczącą pierwszą wśród kobiet na rzecz praw Indian. W 1896 doktor porzucił pracę w Indianiskim Biurze z zamiarem walki przeciwko jego istnieniu. /.../

Będąc obecnie bardziej niezależnym, z powodu swej zamożności, dr Montezuma wielokrotnie wracał do Arizony, szczególnie w okolice Phoenix. Jednego razu towarzyszył mu John Mc Cutcheon, słowny karykaturzysta z „Chicago Tribune”, innym razem dobrze znani pisarze, prawdopodobnie po to, aby mógł ich zaznajomić z nędznym życiem Indian w rezerwach. Jeździł do swych indiańskich przyjaciół i nakłaniał ich: „Domagajcie się swych praw! Co zrobiłem jak, możecie i wy zrobić!”

Niestety, nie każdy Indianin posiadał jego zdolności umysłowe, jego gniałność, dotyczyło to również białych ludzi. Gdziekolwiek dr Montezuma się udawał, tam wykladał o niesprawiedliwościach, które dotyczą Indian za sprawą U.S. Indian Bureau. Przekonany przy tym, że Indianom potrzeba silniejszej propagandy - zaczął wydawać swoje czasopismo „Massaja”, wychodzące raz w miesiącu i mocno chłoszczące to, co określał jako spartaczoną robotę i biurokrację Indianiskiego Biura.

Wypuszczając w 1916 mały periodyk, doktor publikował go przez pięć lat. Stwierdził, że Indianie Biuro „stoi między Indianami a wolnością i aby uwolnić Indian, musimy zlikwidować Biuro”.

Ustawiczne ataki na Biuro przyniosły ostatecznie spodziewane rezultaty - został zwolniony ze swego stanowiska i wrócił do prywatnej praktyki.

Niektóre relacje podają, że w 1906 r. prezydent Theodore Roosevelt, któremu Montezuma podobał się z powodu swej nieugiętej postawy, zaprosił go do Waszyngtonu i poprosił aby został dyrektorem Indian-skiego Biura. Prezydent czytał przemówienia doktora i odbierał jego idee jako postępowe i słuszne. Jednakże dr Montezuma nie przyjął tego stanowiska, gdyż obawiał się że to posunięcie może stłumić jego starania. Ktoś mógłby porównać ten rodzaj honoru z „kopaniem góry”.

W 1917 r. w czasie I wojny światowej będąc teraz dobrze znany jako człowiek medycyny, odwiedził rezerwat Indian i usilnie nawoływał do odmowy stawiania się na pobór, dopóki Indianie nie otrzymają wpierw własnego obywatelstwa. To nie do wiary, ale został aresztowany i uwięziony na terenie rezerwatu, ale już następnego dnia rano został zwolniony na bezpośrednie polecenie prezydenta Woodrowa Wilsona.

Walczył indiański doktor, ważący 86 kilogramów, nie miał trudności w znajdowaniu pacjentów, szczególnie wśród białych, włącznie z ludźmi z towarzystwa. Jednocześnie ze swoją zapewniającą dostatek praktyką, nie zaprzestawał ataku na Indian-skie Biuro oskarżając je o niekompetencję, o wyłudzanie od podatników wysokich, grubych pensji. Jego zawsze kochająca żona trwała w roli, jaką wzięła na siebie już na początku ich związku - „młoczącego partnera”.

Przez rok 1918 dr Montezuma cierpiał na cukrzycę i „co goraze, jego ogólne zdrowie poczęło słabnąć. Nasz bojownik postanowił sprawdzić stan swego zdrowia u kilku kolegów lekarzy.

W młodości był zupełnie zdrowy, ale ostatnio, jak spostrzegli przyjaciele, stale pił wodę i nabawił się suchego kaszlu. Wkrótce lekarze przekazali mu ścisłające serce wieści. Powiedziano mu, że ma gruźlicę płuc. Natychmiast uświadomił sobie, że będąc Indianinem może umrzeć od tego o wiele prędzej niż biały człowiek. /Wtedy była to choro-ba prawie zawsze śmiertelna/.

W krótkim czasie głośny lekarz podjął rozstrzygającą decyzję. Chciał powrócić do Arizony i umrzeć wśród swoich indiańskich przyjaciół. Nawet zanim żona podjęła niezbędne przygotowania dla rozporządzenia ich osobistym dobytkiem, dr Montezuma wsiadł do pociągu jadącego do Phoenix w Arizonie /w 1922 r. niezbyt znaczącej miejscowości/, a następnie udał się w kierunku Fort McDowell Indian Reservation.

W jakiś sposób Indianie z rezerwatu, dowiedziawszy się o obecności dra Montezumy w wickiup, powiadomili lekarza - misjonarza dra C.H. Ellisa, który przybył go zobaczyć. On i drugi lekarz - R.J. Stroud z Tempe w Arizonie - zostali przegnani przez tego umierającego indiańskiego geniusza medycyny. Zawiadomili jednak jego żonę o stanie zdrowia jej męża.

„Chcę aby pozostawiono mnie samemu sobie aż do śmierci” - powiedział lekarzom dr Montezuma, odrzucając każdą dalszą profesjonalną opiekę.

Na przekór swemu poważnemu stanowi zdrowia dr Montezuma odwiedza-jących go Indian utrzymywał w przekonaniu, aby polepszali swoje warunki życia, walczyli o swe prawa.

Nie słyszano więcej o dr Montezumie, dopóki 2 lutego 1923 r. gazeta „Arizona Republican” na pierwszej stronie nie przyniosła kilku lapidarnych wierszy zawiadamiających swoich czytelników, że „Dr Carlos Montezuma z Chicago zmarł w Fort McDowell minionej środy w ojczyźnie swego ojca”.

Ciało Carlosa Montezumy przetransportowano do Phoenix i u Merrymana przygotowano do pogrzebu. Mnóstwo osób zapełniło The First Baptist Church w Phoenix dnia 3 lutego, aby wysłuchać księdza W.B. Per-

civala, składającego z głębi serca płynący hołd pamięci tego niezwykłego człowieka.

„Zebrałiśmy się tu dziś aby oddać cześć pamięci tego, który był kimś więcej niż prostym obywatelem, którego życie i śmierć dotyka szer-szy krąg niż kilka bliskich przyjaciół. - powiedział ksiądz Percival.

Dr Montezumie mogłoby się spodobać słowa pastora, który mówił: „Życie dra Montezumy symbolizuje nam cudowną zależność pomiędzy dwoma ludźmi, czerwonym i białym, Indianinem i Amerykaninem, pomiędzy pierw-szym Amerykaninem i ostatnim Amerykaninem. Jego życie wiąże we wapa-niały sposób przeszłość ze współczesnością naszego kraju, jego pierw-otną dzikość z najnowszą cywilizacją.

Nie był starym człowiekiem i już w przeciągu tego półwiecza swego życia udziałem jego było prymitywne życie plemienne, walki, masakry, porwania i niewola, podróże przez dzikie równiny do miast na wschodzie, widział to, co najgorsze w naszej cywilizacji, ale wybrał najlepsze.

Jego życie w dwojaki sposób stało się dla nas dzisiaj lekcją. Dla Indian jest on przykładem tego, kim może się stać każdy Indianin, któ-ry wyrzeknie się wojen i będzie poszukiwał tego co najlepsze w naszej cywilizacji.

Dla Amerykanów-Przybyszy stanowi przypomnienie zdolności posia-danych przez Indian”.

Doktora Montezumę mającego w chwili śmierci 54 lata, pastor w dal-szym ciągu wychwalał: „Jest jeszcze inny element w życiu doktora, o którym chcę powiedzieć. Dotyczy to jego wiary. Był bez wątpienia wy-chowany w pierwotnej religii swego ludu i na zawsze zachował tę natu-ralną miłość do wszystkiego, co znajdujemy pod gołym niebem. Prawdzi-wym jego życiem było życie w służbie, zdobywaniu, w pokonywaniu trud-ności - to było jego celem. Odnosił on ostateczne zwycięstwo o jest oto gotów przyjąć w nagrodę koronę”.

Montezuma, który myślał o tym, że aby spełniło się jego posłan-nictwo, to powinien przeżyć swe życie w indiańskim rezerwacie - mu-siał się starać w Indian-skim Biurze o ponowne wciągnięcie go do re-jestru plemienia Apaczów. Na jakiś czas jego prośba została odłożona do szuflady, ale później Indian-skie Biuro ustąpiło. Zdziwiałające jest, że jego plemię odrzuciło prośbę twierdząc, że „zbyt długo był białym człowiekiem”.

Dzisiaj dr Carlos Montezuma - nasz młody Wassaja - którego życie prześcignęło w swej dramaturgii wszystkie historie telewizyjnego świa-ta Bena Caseya i dra Kildare, spoczywa spokojnie wśród swych indiań-skich przyjaciół.

Wzdłuż Beeline Highway /trasa nr 87/ wzruszająca, prosta płyta pamiątkowa umieszczona przez Arizona Development Board z pomocą Ari-zona Highway Department określa Montezumę jako „największego wśród wy-kształconych Apaczów” i „zwycięzcę w walce o prawa Indian i lekarza, który zmarł w pobliskiej chacie z chrustu na gruźlicę, odrzucając wszelką pomoc medyczną”.

Taki był dr Carlos Montezuma - natchnieniem, źródłem dobroczyn-ności, całkowicie zaprzatnięty poszukiwaniem przygód w świecie nauki, enigmą. Zaprawdę, znakomita osobowość w historii Arizony i Chicago, jeśli Arizona nie ma nic przeciwko dzieleniu się chwałą. Zaprawdę, na-tura i kariera Wassaji promieniuje wystarczająco, by rozświetlić nie tylko swe rodzinne okolice, ale i całe Stany Zjednoczone. Człowiek, o którym Indianie nie powinni nigdy zapomnieć.

Jerzy Tołkoczka

/Referat wygłoszony na II sesji PRPI 16 marca 1985 r. w Ryni koło Warszawy/

Carol snow



CAROL SNOW

pochodzi z rezerwatu Allegany w stanie Nowy Jork. Należy do plemienia Seneków. Studiowała zoologię, a rysować zaczęła w 1966 r. w trakcie studiów nad kojotami; jednak uznanie przyniosły jej grafiki przedstawiające ptaki drapieżne, szczególnie orły. Do swych twórczych zainteresowań włączyła też tradycje tubylczych Amerykanów. Stosuje różne techniki malarskie: piórko i tusz, akrylik, akwaforta i in.

Napisała i zilustrowała kilkanaście raportów o rzadkich i zagrożonych gatunkach zwierząt dla U.S. Bureau of Land Management. Jej grafiki ukazywały się także w różnych publikacjach amerykańskich Parków Narodowych.

W 1984 r. Carol Snow przyjęto do Stowarzyszenia Indiankiej Sztuki i Rękodzieła /Indian Arts and Crafts Association/, z siedzibą w stanie Nowy Meksyk. Celem tej organizacji jest zapewnianie autentyczności dzieł sztuki i rękodzieła wykonanych przez tubylczych Amerykanów, a także promocja indiańskich twórców i pośrednictwo w sprzedaży ich prac.

publikowane tu grafiki i poezje pochodzą z magazynu AKWEEKON nr 2-3 i 4 z 1985 r.

Wiersze przełożył
Marek Maciołek

Przemiany

Myszę, że jestem tancerką,
śpiewaczką pieśni,
gawędziarką.

Przrywam i pływam,
wlokę się na czworakach,
ślizgam po trawie na brzuchu.

Oddycham skrzelami,
kruchymi pustymi kośćmi,
strzęsam pióra w gniazda na mych skrzydłach

Tarzam się w piasku,
gładzę futro szorstkim językiem
płoczę się na niespodziewany dźwięk.

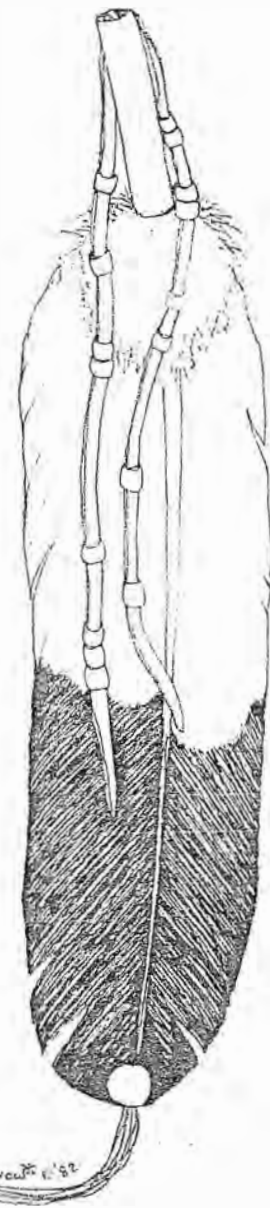
Idę wyprostowana,
dwunożna, kobieta,
ciepła i delikatna, silna i wrażliwa.

Idę w milczeniu,
z uśmiechem, z mówionym słowem,
z łzami samotności, z otwartym sercem.

Co? Zapomniałeś jak?
One tam jeszcze są
Przez te wszystkie stulecia,
Cały twój metalowy zgłęb
Ich nie uciżył.
Wiatr jest posłańcem,
Zważ na szepty ducha.
A teraz... to bębny ciągle
Przemawiają,
Ze wzgórz niedźwiedzia grizzli,
Przez równiny antylopy,
W żyłach twojej krwi:
Bicie serca
Matki Ziemi.

Bicie bębna

Posłuchaj...
Tam! Nie słyszysz?
Wyjdź z zatłoczonego miasta
Do siedliska orłów
Może wtedy usłyszysz.
Bądź cicho choć raz,
Przestań miewać
swym nieckiejszym jeźdźcem.
Zdejm nierdzewne łapy
Z uszu swego serca
I słuchaj.



MAŁY WILK I JEGO ŻONA

Dwadzieścia lat minęło odkąd Mały Wilk i Tępy Nóż wyprowadzili swych zrozpaczonych ludzi ze znienawidzonego kraju na południu, w którym znosili głód, choroby i śmierć. Mały Wilk ma prawie 68 lat i jego serce jest złamane tragedią odrzucenia i wygnania, jakich doświadczył po przyprowadzeniu swych ludzi nad rzekę Łosia. Ale jego twarz wciąż odzwierciedla nadzwyczajną siłę, mądrość i dostojęstwo, które cechowały go, gdy był wodzem Sweet Medicine, a szczególnie wtedy, gdy on, najdzielniejszy człowiek z Północnych Szejenów prowadził swych ludzi do Ziemi Świętej Góry.

Fotografię wykonał George Bird Grinnell 8 października 1898 r.



WIERNOŚĆ PSA

Plemię Assinoboінów rozłożyło swoje skórzane tipi u stóp pasma gór, w pobliżu jednego z licznych zielonych wąwozów i płynącego w nim szemrzącego strumyka. Góry te ciągnęły się z północy na południe.

Wysoko nad szczytami, na tle błękitnego nieba i puszystych, lekkich obłoków szybował orzeł. Dostrzegł on swoim bystrym wzrokiem wodza plemienia, kiedy ten z przymkniętymi powiekami siedział przed swoim tipi.

Stary wódz nie widział ptaka, a jednak posłyszał w swoim sercu jakiś głos, który szeptał:

— Szary Wilku! Już wiele, wiele naliczyłeś ciosów zadanych swoim wrogom i jakże często oglądałeś ich postacie uciekające w popłochu na blask twego wojennego topora. Zprawdę wspaniałym byłeś strzelcem! Twoje pierzaste strzały niosły dotknięcie śmierci. I to było powodem, że twej rodzinie nigdy nie brakowało mięsa bizonów, a w twoim tipi nie wiedzianno, co to jest głód. Ty zaś nigdy nie zapominałeś o starych plemiennych obyczajach, ceniono twój rozum i doświadczenie. Na naradach starszyny twoje zdanie przyjmowane było z szacunkiem. Wielki Duch jest z ciebie bardzo zadowolony i teraz możesz już rozpocząć wielką wędrówkę do Procczej Krainy.

Po uważnym wysłuchaniu tego szeptu serca Szary Wilk zwołał cały swój lud na plac narad. Tam pożegnał się ze wszystkimi walecznymi wojownikami, po czym wkroczył na Drogę Zachodzącego Słońca wraz z żoną, dwoma synami i małym pieskiem, który niósł w zębach jego zapasowe moka-syny.

Szlak, którym podążał do celu, był trudny, kamienisty, a słońce niechętnie prażyło wędrowców swymi promieniami.

Trudy tej strasznej drogi najwcześniej odczuł młodszy syn. Położył się w cieniu przydrożnego drzewa na miękkiej i wonnej od kwitnących ziół trawie. Chciał wypocząć.



Carol Snow

Po przejściu kilku odległości lotu strzały, starszy syn prosił ojca, by mu zezwolił wrócić do brata. Ojciec zgodził się. Gdy starszy syn odnalazł wypoczywającego brata, położył się u jego boku i usnął mocnym snem.

Szary Wilk wędrował w tym czasie wciąż naprzód, za nim szła jego żona i pies niosący w zębach zapasowe moka-syny.

A kiedy wreszcie słońce skryło się za ostatnią górę i zapanował ożywczy chłód, Szary Wilk wraz z żoną rozłożyli obóz pod wielką skałą. Ale odpoczynek ich trwał krótko, bo już wczesnym rankiem udali się w dalszą drogę.

Dzień ten był jeszcze bardziej upalny od poprzedniego, szli więc oboje bardzo zmęczeni, aż na jednym ze wzniesień żona upadła. Nie mogła iść dalej. Pozwoliła nawet mężowi oddalić się na znaczną odległość, a sama, kiedy nieco odzyskała siły, podniosła się i powróciła na miejsce wypoczynku swoich synów.

Tymczasem Szary Wilk wędrował coraz dalej i dalej. Tylko pocziwy, wierny pies włókł się za nim ze spuszczonego ogoniem. Dyszał ciężko z upału i zmęczenia, i błędnym wzrokiem śledził kierunek kroków swego pana idącego po jego śladach.

Kiedy po wielu trudach doszli do miejsca przeznaczenia, Szary Wilk stanął na głazie skalnym i krzyknął pełnym głosem:

— Wielki Duchu! Wołałeś mnie, więc jestem! — Echo kilkakrotnie powtórzyło jego słowa, potem zapanowała cisza.

I wówczas rozległ się potężny głos, tak przenikliwy, jak echo gromu podczas burzy:

— To dobrze! Widzę, że przybyłeś i cieszę się, żeś usłuchał mego wezwania. Ale gdzieś są ci, którzy towarzyszyli ci w drodze?

— Tak bardzo zmęczyły ich trudy wędrówki, że musieli odpocząć.

— A ten cień, który ci towarzyszy? — spytał Wielki Duch.

— To jest mój pies, on mnie nigdy nie opuszcza.

— A więc niech ten twój przyjaciel wejdzie razem z tobą. Swoją wiernością zasłużył sobie bowiem na miejsce w Krainie Cieni.

Stanisław Supłatowicz — Sat Okh



Zostało tak niewiele

patrzę na trawę rosnącą
pomiędzy płytami chodnika
zrodzoną w drugim wcieleniu
zieleni okopanej dymem
przemijającej cywilizacji

na południu
poparzona ziemia nie rodzi
a drzewa nadchodzą do miast
ścianę milczenia

+ + +

granice widzenia zostały zakreślone
kurhany popiołu usypane papierosem
poeta odłożył pióro i rozmawia z nocą

Mick Osmulski

+ + +

modlitwy pozostają niewysłuchane
spróchniałe ramy spadają na głowy
idących w stronę lepszego jutra
a ja chciałbym tylko
napić się wina ze Szkotem
wiatr nie potrzebuje paszportu

+ + +

niepokój jest początkiem zmiany
każda miana przejawem życia
gniew obrócony w łagodność
strach zagłuszony brakiem nadziei
splatam palce na zimnej szklance

+ + +

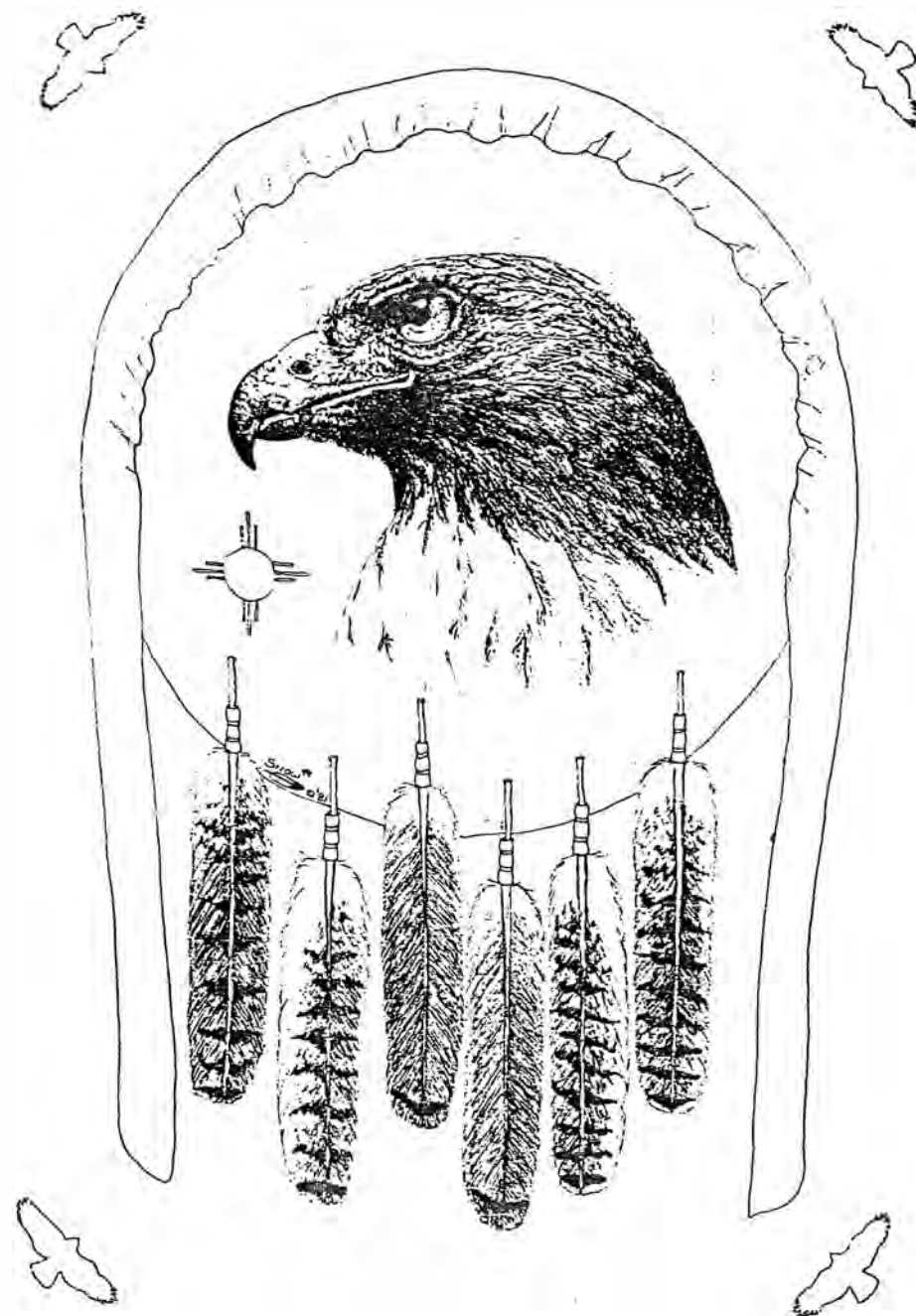
jesteśmy orkiestrą zielonych łąk
przy naszym stole
jest miejsce dla ciebie
kufel chłodnego piwa
i g r a ś ć tytoniu

samotność rozleniwia
wojna mrozi uczucia
nasze buty pokrywa kurz
nasze serca i dłonie
otwieramy dla ciebie
i muzyki zielonych łąk
czujemy więc jesteśmy



Gloria

chromy z upadku
podnosi się powoli
rośnie chropowaty szczyt
potęga cierpienia
odrzucona łaska
zerwane kajdany



Carol Snow, ANIMAL SPIRIT SHIELD - EAGLE, pen & ink

'Federalne programy pomocy dla Indian w Stanach Zjednoczonych to ruina, dotknięta plaga fałszerstw, oszustw i niekompetencji oraz topiąca się w bagnie biurokracji, która niemal całkowicie zniszczyła ich skuteczność' - tak posumowuje swoje półroczne śledztwo w sprawie działalności Biura do Spraw Indian amerykański dziennik 'Arizona Republic'.

Istniejące od 1824 r. Biuro do Spraw Indian jest podległe Departamentowi Spraw Wewnętrznych agencją rządu federalnego, której zadaniem jest współpraca z rządami ok. 300 indiańskich plemion i 200 tubylczych społeczności na Alasce. Oficjalnie, głównym celem Biura jest realizowanie rządowej polityki samookreślenia tubylczych plemion przez wspieranie działań na rzecz ich samorządności i samowystarczalności.

Tymczasem, po zbadaniu tysięcy dokumentów i przeprowadzeniu setek rozmów okazało się, że z ponad 3 miliardów dolarów, przeznaczanych corocznie na pomoc dla Indian, zaledwie co dziesiąty dociera do mieszkańców rezerwatów, podczas gdy pozostałe 90 % rozplywa się w rękach administracji.

Wielu twórców prawa i pracowników federalnych z Waszyngtonu twierdzi, że Biuro do Spraw Indian zyskało sobie wątpliwą reputację najgorzej zarządzanej agencji w całym amerykańskim rządzie. - pisze 'Arizona Republic' i przytacza m.in. opinię republikańskiego senatora z Arizony, J. McCaina, według którego Biuro powoduje większe straty, niż cały Departament Obrony. Za likwidację Biura jest także demokratyczny rywal McCaina, senator DeConcini. I nawet obecny kierownik Biura do Spraw Indian - od 1977 r. w randze wiceministra spraw wewnętrznych - Ross Swimmer, zgadza się z zarzutami i chciałby, 'żeby Biuro cicho zeszło ze sceny'.

Jednym z podstawowych zadań Biura do Spraw Indian jest administrowanie należącymi do Indian ziemiami (ponad 13 mln hektarów, głównie w rezerwach) oraz rozwój i ochrona tubylczych zasobów leśnych, wodnych i mineralnych. Raport stwierdza jednak, że pomimo posiadania praw do ogromnych zasobów węgla, uranu, ropy i gazu, wielu Indian traci swoje gospodarstwa, domy i inny majątek, bowiem Biuro nie spełnia należycie swojej roli powiernika i obrońcy ich interesów. Tysiące Indian domagają się wypłacenia należnych im opłat za eksploatowane przez wielkie koncerny tubylcze bogactwa naturalne a niektórzy członkowie rządu i Kongresu przyznają, że straty Indian z tego tytułu mogą sięgać miliardów dolarów.

Zebrana dokumentacja dowodzi, że zatrudniające 13,5 tys. pracowników (w tym 80 % Indian) Biuro nie pełni dobrze swojej misji niemal w żadnej z dziedzin, którymi się zajmuje. Podobne oskarżenia autorzy raportu wysuwają pod adresem innych agencji federalnych, nadzorujących programy pomocy dla Indian w dziedzinie oświaty, zdrowia czy budownictwa. Opisują np. tragiczną sytuację ok. 170 szkół dla indiańskich dzieci, pozbawionych odpowiedniego personelu, funduszy i programów. Ujawniają sprzeczności w przepisach prawnych, które z 291 indiańskich rezerwatów w USA czynią raj dla przestępców. Potwierdzają też istniejące od lat złe warunki mieszkaniowe i niedostateczną opiekę medyczną Indian oraz chroniczne plagi bezrobocia, alkoholizmu i narkomanii. Indiancy przywódcy i urzędnicy rządowi zgadzają się, że w rezultacie tych warunków zaufanie do Biura jest rekordowo niskie. Wielu uważa, że Biuro przestało być pożyteczne i odeszło tak daleko, że rutynowo działa wbrew interesom 1.4 mln Indian w USA.

Raport 'Arizona Republic' nie jest bynajmniej pierwszą, ani najbardziej krytyczną, oceną praktycznej strony rządowej polityki wobec Indian. Już od ponad pół wieku podobne analizy co jakiś czas - niestety na krótko - zwracają uwagę społeczną na problemy najbardziej upośledzonej grupy etnicznej w Ameryce, powielając z reguły wiele wcześniejszych zarzutów, wniosków i zaleceń. Jednak opublikowanie tego raportu w dużym nakładzie, w ośmiu kolejnych numerach największego dziennika Arizony, sprawiło, że zyskał szczególny rozgłos. Niemalże znaczenie ma fakt, że ukazał się on w środku prezydenckiej kampanii wyborczej i zbiegł w czasie z podjęciem przez Kongres prac nad określeniem zasad nowej polityki indiańskiej. Ożywiły się dyskusje na ten temat wśród działaczy społecznych i gospodarczych, w środkach przekazu, a także wśród samych Indian, którzy w większości od lat krytykują tak działalność, jak i samą 'neokolonialną' koncepcję Biura do Spraw Indian.

Według ocen 'Arizona Republic' 65 % Indian uważa, że w Biurze potrzebne są zasadnicze zmiany, a 20 % pragnie jego likwidacji i przekazania funduszy Biura bezpośrednio indiańskim samorządom. 40 % ankietowanych uważa, że przez ostatnie 10 lat sytuacja Indian nie poprawiła się, a po 30 % jest zdania, że uległa poprawie lub - pogorszyła się.

Gazeta cytuje też wypowiedź Rossa Swimmera, który przed objęciem kierownictwa Biura był wodzem Cziorokezów z Oklahomy. Również jego zdaniem, zamiast pomagać Indianom 'Biuro utrzymuje ich w biedzie'. Uważa on, że rząd federalny postąpiłby lepiej, oddając po prostu korporacjom 3 mld dolarów, które co roku kosztuje podatkników utrzymanie indiańskich programów.

R. Swimmer dąży także do skoncentrowania rozproszonych funduszy powierniczych Indian (ogółem ok. 1,7 mld dolarów) w jednym banku. Tyle tylko - zauważają Indianie - że jest to przeżywający kłopoty finansowe Mellon Bank z Pittsburga, powiązany ściśle z koncernem naftowym Gulf Oil. Dlatego też nie brakuje krytyków Swimmera, oskarżających go o chęć zniszczenia programów pomocy dla Indian, domagających się jego ustąpienia i rzuwających go 'Olliverem Northem ds. Indian'.

W rezultacie - jak to określono - 'doniesień o powtarzających się błędach administracji państwowej' Senat przekazał ostatnio 740 tys. dolarów na zbadanie oskarżeń pod adresem Biura do Spraw Indian. Zaplanowane na rok śledztwo ma objąć nadużycia, które - jak stwierdził przewodniczący Komisji do Spraw Indian, senator K. Inouye - 'dotyczą niemal każdego aspektu administracji spraw Indian i obejmują rozwój indiańskich zasobów, zarządzanie programami pomocy budowlanej, zdrowotnej i oświatowej, inicjatywy rozwoju gospodarczego i przestrzeganie prawa w rezerwach Indian'.

Senator Inouye powołał się m.in. na doniesienia 64 oficjalnych raportów organów kontrolnych rządu i Kongresu, opracowanych po 1970 r., kiedy to zainicjowano politykę samookreślenia Indian, kontynuowaną za rządów R. Reagana. W raportach stwierdza się, że Departament Spraw Wewnętrznych nie zebrał w tym okresie ok. 5,7 mld dolarów opłat, należnych Indianom od koncernów naftowych. Szacuje się też, że podobną sumę warte są ropa naftowa i gaz ziemny, wydobyte nielegalnie z ziem stanowiących własność indiańską lub publiczną.

W tym samym czasie w Kongresie rozpoczęła się debata nad projektami ustaw, będącymi wynikiem raportu specjalnej komisji, powołanej w 1983 r. przez prezydenta Reagana w celu ujawnienia przeszkód w rozwoju gospodarczym oraz poparcia

rozwoju zdrowego sektora prywatnego w rezerwatach Indian'. Projekty te przewidują m. in. założenie korporacji nadzorującej i finansującej rozwój gospodarczy rezerwatów oraz utworzenie specjalnych stref 'indiańskiej przedsiębiorczości' i wolnego handlu, w których inwestorzy mogliby otrzymywać dodatkowe kredyty i ulgi podatkowe.

Społeczna dyskusja wokół tych propozycji dopiero się rozpoczyna, ale już na wstępie podnoszą się głosy krytykujące rządowe projekty m.in. za znaczne zliberalizowanie w 'strefach indiańskiej przedsiębiorczości' przepisów dotyczących ochrony środowiska i praw pracowniczych. Bardziej tradycyjnie nastawiona część indiańskiej społeczności obawia się też nadmiernego uzależnienia rezerwatów od wielkich korporacji, przyspieszenia procesów asymilacji, utraty własnej tożsamości i historycznych praw 'Pierwszych Amerykanów' do ziemi i jej bogactw. Uważają oni, że mogłoby to doprowadzić do likwidacji stanowiących podstawę ich obecnego statusu historycznych traktatów, zawartych z władzami USA, i wynikających z tych umów powierniczych zobowiązań rządu wobec 'wewnętrznych narodów' Indian. Indianie powołują się przy tym na smutne doświadczenia 164 lat paternalistycznej działalności Biura do Spraw Indian i często zgubne dla ich życia skutki kontaktów z cywilizacją i 'dobrodziejstwami' białego człowieka.

Od początków 'indiańskiego odrodzenia' z przełomu lat 60. i 70. w centrum zainteresowania wielu Indian znajdują się problemy związane z odbudową krytykowanych, wyszydzanych i nierzadko zakazywanych w przeszłości plemiennych tradycji i kultur. Ci sami tubylcy Amerykanie dążą do rzeczywistego samostanowienia swoich narodów oraz do uniezależnienia się od obcego ich tradycjom i wykorzystującego ich bogactwa amerykańskiego systemu gospodarczego. Obawiają się oni, że rząd i wielkie korporacje, rezygnując stopniowo z coraz trudniejszej i mniej opłacalnej eksploatacji ziem i zasobów Trzeciego Świata, zwracają się teraz ku rezerwatom Indian w poszukiwaniu tanich źródeł energii, wojskowych kontraktów, wysokich zysków i niskich kosztów produkcji. Przywiązani do tradycji i niezależności Indianie nie raz doświadczali na własnej skórze opłakanych skutków nawet dobrych w intencjach decyzji władz i dlatego podejrzliwie odnoszą się do nowych projektów. Uważają bowiem, że - zamiast zgodnie z ich pragnieniami przekazać rządowi plemiennym większe uprawnienia samorządowe i środki na rozwój - władze zacierają do likwidacji programów pomocy, ściślejszego powiązania gospodarki rezerwatów z działalnością wielkiego biznesu i podporządkowania bogactw i przyszłości Indian interesom amerykańskiego kapitału.

Wydaje się, że kolejna reforma polityki władz Stanów Zjednoczonych wobec Indian może dokonać się przy niewielkim udziale najbardziej nią zainteresowanych, bez postulowanych przez tubylczą społeczność zmian, ale za to - w zgodzie z nadrzędnymi interesami władzy. Tymczasem tubylcy Amerykanie chcieliby współtworzyć i realizować takie koncepcje rozwoju poszczególnych indiańskich społeczności, które opierałyby się na ich własnych możliwościach, potrzebach i systemach wartości. Wiedzą oni, że jest to niemożliwe bez zasadniczych zmian w podejściu władz do 'problemu indiańskiego' i mają podstawy wątpić, by obecne przemiany, dokonywane bez ich istotnego udziału, przybliżały ich do tego celu.

Marek Nowocień

Genewa, siedziba Komisji Praw Człowieka ONZ, gościła w pierwszych dniach sierpnia 1988 r. przedstawicieli indiańskich plemion i organizacji, uczestniczących w kolejnej Konferencji Ludów Tubylczych. Przedstawiamy wypowiedź jednego z jej uczestników, nadesłaną nam przez naszych przyjaciół z NRD. =MN=

LANCE HENSON, NARÓD SZEJENÓW POŁUDNIOWYCH

Pani Przewodnicząca, szanowni mówcy i stronnicy tubylców: przynoszę Wam pozdrowienia od ludu Szejenów Południowych z kraju zwanego Ameryką. Od naszych tradycyjnych przywódców, mężczyzn i kobiet oraz szczególnie - od naszych dzieci, przynoszę Wam uroczysty i oświetlony głos w walce o suwerenne prawa i ludzką godność Ludów Tubylczych. Wierzę, że mój głos jest pierwszym głosem moich braci i sióstr, babć i dziadków Szejenów Południowych na tym forum.

Pragnieniem naszych tradycyjnych przywódców jest, abyśmy dzięki pilnemu praktykowaniu naszych tradycyjnych dróg mogli przedstawić skromny, ale wymowny głos na rzecz ludzkiej wolności. My, Szejenowie Południowi, zawsze stosowaliśmy się do słów naszego proroka, Słodkiego Leku. Nie zapominamy też, że wszyscy tubylcy, którzy byli w stanie zachować swoje drogi życia, także żyją według własnych plemiennych proroctw. Jest rzeczą tragiczną i piękną siedzieć tutaj, w tym kręgu oddanych i troskliwych głosów. Słodki Lek, nasz szejeński prorok, mówił o mrocznych i ciężkich czasach, kiedy ludzie z różnych narodów i o różnych barwach będą musieli się zorganizować i wyruszyć na poszukiwanie dróg ocalenia świata i jego ludzi. Takie czasy są w zasięgu ręki. Siedzę wśród Was w nadziei, że wysłuchacie całej naszej wiedzy o tradycyjnych drogach, ponieważ wiedza ta mówi, że Stwórca dał nam życie i prosił nas, abyśmy byli opiekunami Matki Ziemi.

My, ludzie, których przewano 'Indianami', my, którzy znamy nasze plemienne nazwy, cierpimy codziennie z powodu uciskającej nas rzeczywistości postaw ludobójczych. Istniejemy jednak i każdy z nas jest żywym testamentem trwałości i mocy naszych plemiennych nauk. My, Szejenowie Południowi, żyjemy średnio 48 lat. Cierpimy z powodu 40 do 70 procent bezrobocia na obszarze czterech okręgów zwanych 'Ziemią Indian' w zachodniej Oklahomie. Odsetek samobójstw wśród naszej młodzieży jest dwukrotnie wyższy od średniej krajowej. Nasi starcy umierają bez grosza z powodu złego gospodarowania ich pieniędzmi, znajdującymi się w powiernictwie Biura do Spraw Indian. Biuro to, albo 'BIA', stworzyło chaos oraz obraz zapomnienia tam, gdzie kiedyś była wolność i gdzie spełniały się wizje.

Jeden z najnowszych ataków, prowadzonych na tubylców Stanów Zjednoczonych, rozpoczął się od utworzenia Prezydenckiej Komisji do Spraw Gospodarki Rezerwatów. Ta dziewięciosobowa komisja składa się z członków zarządów wielonarodowych korporacji, takich jak Occidental Petroleum, i członków tzw. Fundacji Heritage. Fundacja ta powstała w celu popierania agresywnego planu realizacji 'wolnej przedsiębiorczości', narodowego bezpieczeństwa i niezależności energetycznej - trzech synonimów dążeń rządu Stanów Zjednoczonych do zniszczenia ziem i podporządkowania sobie tubylców. Część członków tego komitetu to 'Indianie BIA', którzy zaprzęдали się kapitalistycznemu punktowi widzenia rządu i nie biorą pod uwagę dobra własnych ludzi.

1. Niektóre z zaleceń tego komitetu obejmują:
Przeznaczenie indiańskich ziem jako 'Stref Indiańskiej Przedsiębiorczości', wyłączonych z przepisów o ochronie środowiska i praw pracowniczych;
2. Przebudowę indiańskich rządów w celu wyeliminowania mieszania się 'indiańskiej polityki' w rozwój ekonomiczny;
3. Uczynienie z Departamentu Skarbu rządu USA głównego nadzorca finansowego Indiańskiego Rozwoju Ekonomicznego.

Są to tylko trzy z 37 zaleceń Komitetu. Kongres USA rozważa obecnie kilkanaście ustaw opartych na zaleceniach komitetu. Zalecenia te stanowią ostatni krok władz USA ku eliminacji życia plemiennego w granicach Stanów Zjednoczonych. Proszę zebrane tu dziś forum o ocenę wpływu tych zaleceń na życiowe drogi tubylców w Stanach Zjednoczonych.

My, Szejenowie Południowi, nie przychylamy się do koncepcji apokalipsy świata. W myśli naszej religii i proroctw zawarta jest wiedza, że Ziemia jest skałą i jako skała nie może zostać zniszczona. Ludzie, którzy żyją na tej planecie, mogą jednak zniknąć na skutek własnych działań. Na szczęście, Ziemię zaludniają ludy tubylcze, których drogi życia zawierają praktyczną wiedzę, jak ocalić życie na tej planecie.

Nie możemy już dłużej zakładać, że dzieci, które wychowujemy, odziedziczą zdrową planetę, jeśli nie zaczniemy potwierdzać mądrości naszych starców. My, Szejenowie Południowi, podobnie jak inne ludy plemienne świata, uważamy białego człowieka jedynie za przemijający epizod w historii plemiennej, która obejmuje tysiąclecia. W ziemi zwanej Ameryką biały człowiek może być najbardziej niszczącą siłą, jaką napotkały plemiona, nie jest jednak uważany za zdomowionego na stałe na kontynencie. Wielu Indian w Ameryce wierzy, że powinniśmy w ramach naszych praw traktatowych poczynić duże kroki w celu ogłoszenia naszych plemion suwerennymi narodami.

Pani Przewodnicząca, przedstawiam to przesłanie w nadziei, że mój lud weźmie aktywniejszy udział w pozytywnych akcjach takich jak te, o których tutaj słyszałem.

Niech Stwórca wszystkich błogosławi każdego z Was. My, Szejenowie, mamy Was w swoich sercach. Jesteśmy wdzięczni za Wasze życie



OSWIADCZENIE TRADYCYJNYCH SUW RENNYCH PRZYWÓDCÓW NARODU HOPI

Jego xc. JAVIER PEREZ DECELLAR - Sekretarz Generalny ONZ

Mineło czterdzieści lat odkąd Tradycyjni Suwerenni Przywódcy Hopiów przekroczyli drzwi ONZ, by pokornie przedstawić Zgromadzeniu Ogólnemu Proroctwo Hopiów (HOPI NAVOTI).

Stwierdzamy teraz, że pewni delegaci i przedstawiciele, którzy przychyliłi się do naszych próśb, uczynili to nieoficjalnie. Dlatego nasze posłanie pozostało u wejścia do ONZ.

Stwierdzamy także - na skutek nowych wojen, powszechnego ubóstwa wszystkich narodów, niszczenia środowiska i ciągłej asymilacji ludów tubylczych - brak odpowiedzialności przywódców świata za jego duchowość i stałe ostrzeżenia Natury. Dochodzimy do wniosku, że nie ma już nadziei na światowy pokój.

Jest oczywiste, że przemawianie do świata za pośrednictwem ONZ jest zbyt polityczne i nie jest zgodne z intencjami jej założycieli. Władzę polityczną kontroluje rząd Stanów Zjednoczonych i inne rządy świata.

Biorąc pod uwagę, że siedziba ONZ znajduje się na ziemi naszej i naszych przodków, uważamy, że jeżeli ta światowa organizacja jest naprawdę zjednoczona, to żaden suwerenny naród nie powinien być wyłączany ze spraw światowych. ONZ nigdy oficjalnie nie otworzyło swoich drzwi ludom Tubylczym.

Dlatego, jako Prawdziwi Tradycyjni Religijni Kapłani Hopiów, oficjalnie wycofujemy wszelkie próśby o zwrócenie się do Narodów Zjednoczonych i nie uznajemy już ich zasad. Hopiowie wypełnili przykazania proroctwa o Domu z Miki.

POTRZEBNA NATYCHMIASTOWA POMOC EPICENTRUM HOPIÓW DO SPRAW KONTAKTÓW MIĘDZYNARODOWYCH

Hopi Epicenter For International Outreach z Arizony potrzebuje środków na utrzymanie działalności. Biuro powstało w lutym 1987 r. w celu zapewnienia łączności między Przywódcami Religijnymi Tradycyjnymi Hopiów i społecznością świata. Grupa ochotników z Epicentrum opublikowała posłanie Przywódców w oficjalnym biuletynie KAHTSIMKIWA (przesłanym przed rokiem m.in. do Polski za pośrednictwem WGIP z Holandii).

O d t a m t e j p o r y :
- odwiedziliśmy Szwajcarię i RFN, informując Parlament oraz Partię Zielonych o ryzyku życia w pobliżu kopalni uranu;
- występowaliśmy w wielu miastach USA przeciw ustawodawczym atakom na tubylcze ziemie i projektom nowych kopalń;
- na prośbę plemienia Havasupai pomagaliśmy zorganizować międzynarodową konferencję na temat uranu w Wielkim Kanionie;
- prezentowaliśmy w Kongresie USA stanowisko nasze i plemienia Havasupai w sprawie ustawy o indiańskich korporacjach;
- stale współpracujemy z tubylcami i nie-tubylcami na rzecz ochrony środowiska, zjednoczenia i lepszego jutra.

Pomimo propozycji składanych różnym fundacjom, nie otrzymaliśmy żadnej stałej pomocy. Biuro działa niemal wyłącznie dzięki ofiarności przyjaciół. Z powodu naszych energicznych wysiłków w obronie planety - naszego domu i naszej Matki - fundusze te wyczerpały się całkowicie. Nie mamy środków ani na kolejny numer KAHTSIMKIWA, ani na utrzymanie Biura.

Prosimy Was o pomoc. Przyda się każda, nawet najmniejsza.

HEFIO, 22 S.SAN FRANCISCO St. Suite 211, FLAGSTAFF, AZ 86001

OSPRAWCIE, BY ŻYŁ MÓJ LUD!

W 1931 roku starzec stojący na górze Harney w Black Hills wzniósł ramiona do pustego nieba i wypowiedział te słowa.

Był to Czarny Łoś /Black Elk/, wojownik i szaman Siuksów Oglala. Za jego życia miały miejsce dwa najważniejsze wydarzenia w dziejach Indian Prerii; Czarny Łoś widział ~~bitwę~~ nad rzeką Little Big Horn, mając 13 lat, i powolne konanie swego ludu aż po ostateczną masakrę nad Wounded Knee.

Urodził się w grudniu 1863 r. Kiedy miał 9 lat ujrzał we śnie wielką wizję, która miała mu pomóc zachować przy życiu jego lud. Czarny Łoś nie od razu jednak pojął sens wizji i dopiero po śmierci Szalonego Konia zaczął wykorzystywać poszczególne obrazy z wizji w niesieniu szamańskiej i duchowej pomocy swym ludziom. Aby otrzymać moc uzdrawiania musiał odbyć kolejno obrzędy konia, psa, ~~heyoki~~, bizona i Łoś.

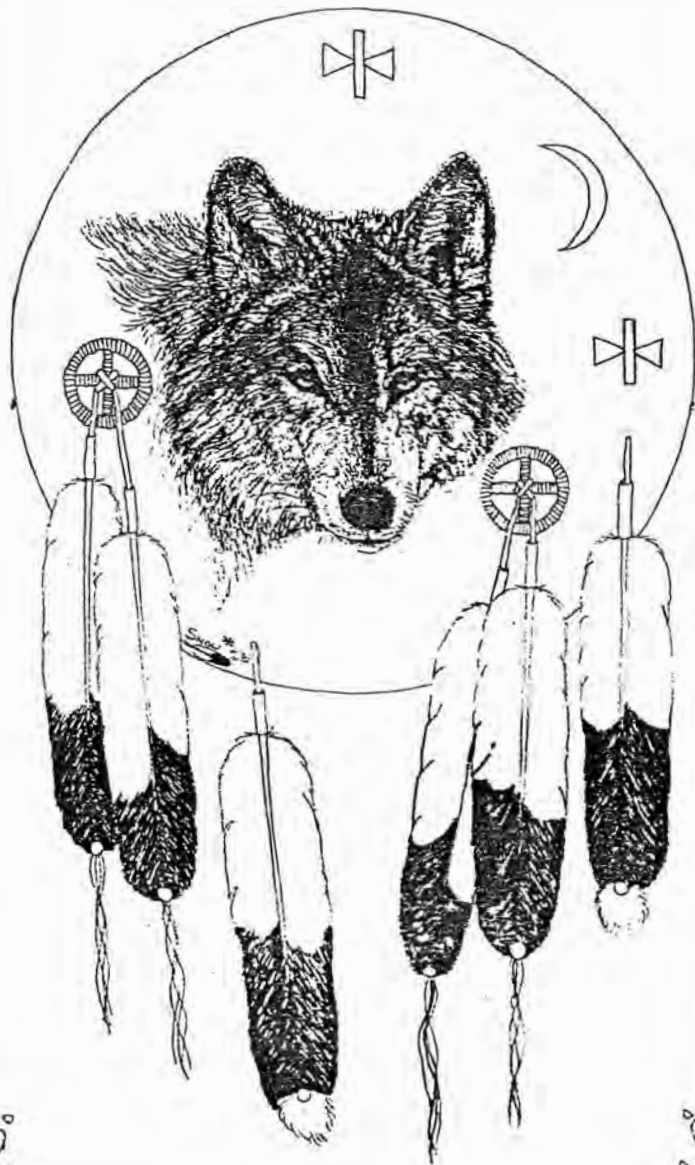
W 1886 r. biali agenci zaproponowali paru Oglalom, aby pojechali za wielką wodę, do Europy, z ~~rewia~~ Buffalo Billa. Czarny Łoś, świadom pogarszającego się ciągle położenia swych ludzi, dostrzegł w tej propozycji nadzieję na uratowanie swego indiańskiego ludu. W wizji widział bowiem dwóch mężczyzn przychodzących ze wschodu, którzy przynieśli mu ziele przykazując rzucić je na ziemię. W miejscu zetknięcia z glebą roślina wypuszczała korzenie i rozkwitała czterema promieniami. Czarny Łoś czuł, że za wielką wodą dowie się czegoś, co pomoże mu uchronić ~~jego~~ lud od zagłady. Pojechał do Europy i przebywał kolejno w Londynie, Paryżu, w Niemczech i znowu w Paryżu, gdzie miał następną wizję, duchową podróż do Południowej Dakoty, podczas której ujrzał obóz swych ludzi i tipi swych rodziców zapatrzonych w niebo. Postanowił wtedy wrócić.

Będąc już w Ameryce zetknął się z wyznawcami pejotyizmu. Głosili oni, że ziemia pochłonie wkrótce wszystkich białych, powrócą bizona i wszystko będzie jak dawniej. Czarny Łoś przyłączył się do ruchu Tańca Duchu. Było już jednak za późno. Rząd, zaniepokojony szybkim rozprzestrzenianiem się nowej religii, zakazał jej propagowania, a przeciwko opierającym się wysłał wojsko.

„Nie wiedziałem jeszcze wtedy, co się skończyło - powiedział Czarny Łoś o masakrze Wounded Knee. - Gdy patrzę w przeszłość, widzę wciąż jeszcze, z wysokiego wzgórza mego ~~sędziwego~~ wieku, zmasakrowane ciała kobiet i dzieci, tworzące stosy lub porozrzucane wzdłuż krętego wąwozu. Widzę to teraz wyraźnie, jak widziałem wówczas młodymi oczami. I wiem, że coś jeszcze umarło tam, w tym krwawym błocie, i zostało pogrzebane w zamieci. Marzenie naszych ludzi. Piękne marzenie... Krąg wspólnoty mego narodu rozprysł się na kawałki. Nie ma też środka. Święte drzewo umarło”.

Zmuszony do życia w rezerwacie, Czarny Łoś zaprzestał swej działalności. Wszystko wskazywało na to, iż jego potężna wizja i mądrość zginie razem z nim...

„Z Czarnym Łosiem spotkałem się pierwszy raz w sierpniu 1930 r. - napisał John G. Neihardt. - Pracowałem wtedy nad „Pieśnią Mesjasza” /jedną z pięciu epickich pieśni wchodzących w skład jego głównej poetyckiej pracy „A Cycle of the West” - mm/ i szukałem jakiegoś starego szamana, który działał w Ruchu Mesjasza /Taniec Duchu - mm/ i byłby skłonny opowiedzieć mi o głębszym duchowym sensie tego ruchu. (...) W Agencji Pine Ridge dowiedziałem się o pewnym Siuksie imieniem Czarny Łoś. Powiedziano mi, że był swego rodzaju „kznodzieją”, ~~wicą~~ ~~świątym~~ człowiekiem, kapłanem/. Brał udział w ruchu Tańca Duchu i był kuzynem Szalonego Konia. (...) Kiedy przyjechalismy do niego, Czarny Łoś stał przed szalesem z sosnowych gałęzi. Było południe. Kiedy o zmierz-



Carol Snow, ANIMAL SPIRIT SHIELD - WOLF - 5 x 8

chu opuszczaliśmy to miejsce, nasz tłumacz Lecący Jastrząb powiedział: -'To zabawne, ale mam wrażenie jakby starzec wiedział, że jedziecie do niego'. Mój syn także odniósł takie wrażenie. Po paru latach znajomości Czarnego Łosia uwierzyłem w to, gdyż posiadał on nadprzyrodzoną moc".

Po wstępnej rozmowie, Czarny Łos powiedział Neihardtowi: - 'Jest tak wiele do powiedzenia. To co wiem, zostało mi dane dla innych ludzi, jest to prawdziwe i piękne. Wkrótce będą pod trawą to [wiedza] przepadnie. Ty zostałeś posłany aby to uchronić, musisz tu wrócić abym mógł cię nauczyć'. - 'Wrócę, Czarny Łosiu' - odparł Neihardt. - 'Kiedy chcesz mnie widzieć?' - 'Na wiosnę, kiedy trawa będzie taka' - powiedział Czarny Łos i pokazał szerokością dłoni.

Na początku maja 1931 r. Neihardt w towarzystwie najstarszej córki Enid i młodszej Hilary, powrócił do rezerwatu. Czarny Łos nie znał agnielskiego, tłumaczem był jego syn, Ben Czarny Łos, który uczył się w szkole w Carlisle. Notatki prowadziła córka Neiharda, Enid, zaś on sam tylko słuchał i zadawał pytania, które Ben tłumaczył na lakocki. Później Neihardt przełożył te "tłumaczenia", jakie zapisała Enid, na język pisany, wykorzystując poetykę notatek córki.

Tak powstała książka niezwykła: BLACK Elk SPEAKS. Being the Life Story of a Holy Man of the Oglala Sioux as told to John G. Neihardt / CZARNY ŁOS OPOWIADA. Historia życia świętego człowieka Siuksów Oglala opowiedziana Johnowi G. Neihardtowi. Później Neihardt zmienił człon "as told to" na "as told through" - "opowiedziana za pośrednictwem", co czyniło Czarnego Łosia właściwym autorem tej książki - mm/. Po raz pierwszy wydano ją w 1932 r. i od razu spotkała się z entuzjastycznym przyjęciem krytyków, którzy uznali książkę za "dziwnie piękną", choć o Indianach wiedzieli niewiele. Przez niespełna dwa lata książkę wyprzedano i zdawało się, że o niej zapomniano. Choć mijały pokolenia, książka nie chciała umierać. Kilka egzemplarzy znalazło się w Szwajcarii i Niemczech, gdzie zainteresowali się nią niemieccy naukowcy, łącznie ze starym Carlem Jungiem, znanym psychologiem i filozofem.

Więści te dotarły do Ameryki i w 1961 r. książkę wznowiono; jej recepcja była równie entuzjastyczna jak przed 30 laty, głównie wśród młodzieży. Po telewizyjnym wywiadzie z Neihardtem w 1971 r., książka zdobyła niespotykaną dotychczas popularność i doczekała się wielomilionowych broszurowych nakładów, stając się jedną z najpopularniejszych książek o życiu amerykańskich Indian.

Pragnieniem Czarnego Łosia było, aby jego słowa przetrwały i dotarły do innych ludzi. Tak się stało. Uniwersalne posłanie indiańskiego szamana przetłumaczono na kilka języków, m.in. na niemiecki, włoski, hiszpański i szwedzki. Poniżej proponujemy pierwszy rozdział tej niezwykłej opowieści.

O F I A R O W A N I E F A J K I

Mówi Czarny Łos:

Mój przyjacielu, opowiem ci historię mojego życia, tak jak chciałem. Gdyby to była historia tylko mojego życia, to bym chyba ci jej nie opowiedział, bo coś znaczy jeden człowiek, który powinien wiele dokonać w czasie swych zim, nawet wtedy, kiedy lata zginają go już jak ciężki śnieg? W tej opowieści brało udział i będzie brać tylu innych ludzi, ile jest źdźbeł trawy na tym wzgórzu.

Jest to opowieść o całym życiu, które jest święte i warte opowiedzenia. Jest to opowieść o nas, dwumóżnych, spokrewnionych z czwornóżnymi i ze skrzydlatymi istotami przestworzy, i wszystkimi zielonymi istotami, bo są to dzieci jednej matki, zaś ich ojcem jest jeden Duch.

Nie jest to więc opowieść o wielkim myśliwym ani o wielkim wojowniku, ani też o wielkim podróżniku, chociaż upolowałem wiele zwierząt w życiu, walczyłem dla moich ludzi jako chłopak i jako mężczyzna, a także pojechałem daleko i widziałem obce kraje i obcych ludzi. To robiło też wielu innych i lepiej ode mnie. Wspomnę te wydarzenia w trakcie opowieści, często mogą się one wydawać same w sobie prawdziwymi opowiadaniem, jak przeżywałem je w szczęściu i smutku. Ale teraz, kiedy widzę to wszystko z tego samotnego wzgórza wiem, że była to potężna wizja dana człowiekowi zbyt słabemu, by mógł ją wykorzystać; wizja o świętym drzewie, które powinno zakwitnąć w sercach ludzi pełne kwiecie i śpiewu ptaków, a jest teraz uschnięte. Była to też wizja o marzeniu ludzi, które umarło w krwawym śniegu.

Jeśli wizja ta była prawdziwa i potężna - jak uważam - to nadal jest taka, gdyż pochodzi z Ducha i jest zakryta przed oczami ludzi.

Stąd wiem, że to co chcę zrobić jest dobre, a ponieważ żadnej dobrej rzeczy człowiek nie może zrobić sam, złożę wpierw ofiarę i zawiadam do Ducha Świata, aby pomógł mi być w prawdzie. Spójrz, napełniam tę świętą fajkę korą z czerwonej wierzy, ale zanim ją wypalimy musisz zobaczyć z czego się składa i co oznacza. Te cztery watażki zwisające z cybuchy to cztery strony wszechświata. Czarna symbolizuje zachód, gdzie żyją grzmoty zyskujące nam deszcz; biała to północ, skąd przychodzi wielki oczyszczający wiatr; czerwona to wschód, skąd pochodzi światło i gdzie żyje gwiazda poranna dająca ludziom mądrość, zaś żółta to południe, skąd przychodzi lato i siła wzrastania.

Jednak te cztery duchy są jednym Duchem i to orle pióro oznacza właśnie tę Jedność, która jest jak Ojciec, a także oznacza myśli ludzi, którzy powinni wznosić się tak wysoko jak orły. Czyż nie jest to Ojciec Niebo i Matka Ziemia? Czyż te wszystkie żywe istoty, które mają nogi, skrzydła czy korzenie nie są ich dziećmi? Ta skóra przy ustniku, która powinna być z bizona, oznacza ziemię, z której przyszedliśmy i z której pierśi wysysamy, jak niemowlęta, całe nasze życie, wspólnie ze wszystkimi zwierzętami, ptakami, drzewami i trawą. Fajka jest święta dlatego, że oznacza to wszystko i wiele więcej jeszcze niż człowiek może zrozumieć.

Istnieje opowieść o tym, jak fajka dotarła do nas po raz pierwszy. Dawno temu dwóch zwiadowców wyruszyło na poszukiwanie bizonów i kiedy dotarli na szczyt wysokiego wzgórza i spojrzeli na północ, zobaczyli, że z daleka coś się zbliża, a kiedy już się przybliżyło, obaj krzyknęli:

- To kobieta!

Była to kobieta i jeden ze zwiadowców, będąc głupi, miał złe myśli i je wypowiedział, ale ten drugi odrzekł:

- To święta kobieta, odrzuć wszystkie złe myśli.

Kiedy ona zbliżyła się jeszcze trochę, ujrzeni, że nosiła ładną sukienkę z białej jeleniej skóry, że miała bardzo długie włosy, i że była młoda i bardzo piękna. Znała ich myśli i przemówiła, a jej głos brzmiał jak śpiew.

- Nie znasz mnie, ale jeśli chcesz zrobić to, co myślisz, możesz podejść.

I ten głupi podeśedł. Kiedy stanął przed nią zjawiła się biała chmura i okryła ich. Po chwili piękna młoda kobieta wyszła z tej chmury, a kiedy rozwiązał ją wiatr głupi mężczyzna był już szkieletem, po którym leżało robactwo.

Wtedy kobieta zwróciła się do tego, który nie był głupi.

- Pójdziesz do domu i powiesz swym ludziom, że przychodzę i że trzeba zbudować dla mnie wielkie tipi w środku narodu.

Mężczyzna był bardzo przestraszony, pobiegł szybko i opowiedział

wszystkie ludziom, którzy natychmiast zrobili to, co im nakazał. Potem czekali na świętą kobietę wokół wielkiego tipi. Po chwili ona nadeszła, piękna i śpiewająca. Kiedy weszła do tipi zaśpiewała tak:

Z widzialnym oddechem idę.

Z głosem wznoszonym idę.

W uświęcony sposób idę.

Po widzialnych śladach idę.

W uświęcony sposób idę."

Gdy śpiewała, z jej ust zaczęła się wydobywać biała chmura, która miło pachniała. Potem dała coś wodzowi. Była to fajka z wyrzeźbioną na niej bizonicą mającą symbolizować ziemię, która nosi nas i karmi. Było tam też dwadzieścia orlich piór zwisających z cybucha i połączonych mocną trawą, co oznaczało niebo i dwadzieścia księżyców.

- Zobacz - powiedziała - dzięki niej rozmnożycie się i staniecie dobrym narodem. Tylko dobrze bądźcie z niej przychodziło. Tylko dobre ręce powinny się nią opiekować, zaś te złe nie powinny jej nawet oglądać.

Potem zaśpiewała raz jeszcze i wyszła z tipi. Kiedy ludzie spojrzeli za nią, nagle przemieniła się w białą bizonicę i parskając zaczęła biec. Wkrótce zniknęła.

Mówi się, że tak to było. Nie wiem, czy zdarzyło się to właśnie tak, a nie inaczej. Jeśli się jednak zastanowisz nad tym, zobaczysz, że to prawda.

Zapalam fajkę i kiedy ofiaruję ją mocom, które są jedną Mocą i wzniosę do nich swe wołanie - wypalimy ją wspólnie. Przede wszystkim składam cybuch w ofierze Najwyższemu wołając:

Hej hej! Hej hej! Hej hej! Hej hej!

Dziadku, Wielki Duchu, byłeś zawsze, a przed Tobą nie było nic. Tylko do Ciebie można się modlić, do nikogo innego. Ty sam i wszystko co widzisz zostało stworzone przez Ciebie. Ustanowiłeś naród gwiazd w całym wszechświecie. Ustanowiłeś cztery strony ziemi. Ustanowiłeś dzień i wszystko w tym dniu. Dziadku, Wielki Duchu, pochyl się nisko nad ziemią, abyś mógł usłyszeć wołanie, które ślę do Ciebie. Ty, który jesteś tam, gdzie słońce zachodzi, zobacz mnie! Istoty Grzmotu, zobaczcie mnie! Ty, gdzie Biały Olbrzym żyje, zobacz mnie! Ty, gdzie słońce świeci nieprzerwanie, skąd przychodzi gwiazda poranna i dzień, zobacz mnie! Ty, gdzie żyje lato, zobacz mnie! Ty w głębi niebios, w sile orła, zobacz mnie! I Ty, Matko Ziemi, jedyna Matko, Ty która okazałaś miłosierdzie swoim dzieciom!

Usłyszcie mnie, Cztery Strony Świata - jestem z Wami spokrewniony! Dajcie mi siłę bym mógł iść przez tę delikatną ziemię w pokrewieństwie do wszystkiego co jest! Pozwólcie mi zobaczyć i zrozumieć, że mogę być jak Wy. Tylko z Waszą siłą mogę stanąć twarzą do wiatru.

Wielki Duchu, Wielki Duchu, mój Dziadku, na całej ziemi twarze żyjących istot są takie same. Z delikatnością powstały z ziemi. Spójrz na oblicza tych niezliczonych Twoich dzieci. Spójrz na dzieci w ich ramionach, aby mogły stanąć twarzą do wiatru i iść dobrą drogą aż po dzień spokoju.

To moja modlitwa, usłysz mnie! Wołanie, które wznoszę jest słabe, ale ślę je z żarliwością. Usłysz mnie!

Skończone. Hetchetu alohi!

A teraz, mój przyjacielu, zapalmy razem, tak aby między nami było już tylko dobro.

Przełożył Marek Maciołek

IZ PRZEDSTAWIENIU STRONY

Uwaga! XIII Zlot PRPI odbędzie się w dniach 22-24 lipca br. w Borach Tucholskich. Obóz w lesie nad wodą ok. 5 km od przystanku PKP SZPĘGAWSK na trasie Stargard Gdański - Tczew. Uczestników obowiązuje posiadanie zaproszeń, opłacenie kosztów uczestnictwa przed Zlotem, przestrzeganie zasad obozowego współżycia oraz zakaz spożywania alkoholu i narkotyków. Tyczki do tipi zapewniają wyłącznie organizatorzy - po wcześniejszym zgłoszeniu zapotrzebowania na określoną ilość sztuk. Zgłoszenia i propozycje programowe przyjmują oraz informacji udzielają organizatorzy:

ANNA i ANDRZEJ PEICHERT

Al. Zwycięstwa 18/77

83-110 TCZEW

W szóstym numerze „madianu” /RPN/ z 1988 r. ukazała się krótka notatka Arkadiusza J. Kilanowskiego o 12 zlocie PRPI. Do artykułu Arkę dołączył dwie fotografie przedstawiające obrzęd fajki i jazdę konną.

Informujemy, że można u nas nabyć po cenie antykwarecznej następujące książki:

Rudolf H. Nocoń: Kobieta w życiu Indian Ameryki Południowej. cena 800
Bronisław Malinowski: Wierzenia pierwotne i formy ustroju społecznego.

O zasadzie ekonomii myślenia. /Tom 1 Dzieł/ c. 500.

Elżbieta Dzikowska: Niełatwo być Indianinem. c. 300.

Grey-Owl: Pielgrzymi Puszczy. c. 300.

Elżbieta Dzikowska: Limańskie ABC. c. 300.

Janusz Wolniewicz: W krainie złota i totემów. c. 100.

Augusto Roa Bastos: Kurupi i inne opowiadania. c. 200.

Miguel Angel Asturias: Legendy gwatemalskie. c. 120.

José Maria Arguedas: Yawar Fiesta. c. 120.

Cesar Uribe Piedrahita: Toa. c. 120.

Francisco Rojas Gonzalez: Twórca Bogów. c. 100.

Śladami Indian. Antologia polskich relacji o Indianach Ameryki Południowej. Oprac. Maria Paradowska. c. 200.

Darcy Ribeiro: Maira. c. 200.

Aleksander Posern-Zieliński: Kraina Inkari. c. 500.

Adres: Marek Maciołek, ul. Łąkowa 3, 64-050 Wielichowo.

OD CZASU POWROTU
ZZA WIELKIEJ WODY ZROBIŁ
SIĘ JAKIŚ DZIWNY.

